

ISSN 1427-6720

Pionierzy

NR 3(3) 97 ROK II
ZIELONA GÓRA
Cena 2 zł

CZASOPISMO SPOŁECZNO-HISTORYCZNE



- Początki życia politycznego
- Trzy razy w Falkensee
- Pierwsza placówka PCK
- Pionierzy browaru w Zielonej Górze
- Wnuki Pionierów



Uliczki, uliczki
leniwy grzbiet mają.
Oto owocowania pora:
na murze winograd
pnie się histerycznie,
już beczki wina swą
okrągłość toczą,
już szyszak zbójcecki
na radość podzwania,
już konie wzlatują
jak mrówki czarne.
Już galopują:
niecnota i wdzięk.
Bolesław Rogatka?
Nasz brzydki książę?
To z lic czarownic
spada noc,
to przebierańcy
w tłum wpleceni
niosą Bachusa
liść tronowy
i dymią śmiechem
ponad brzeg
ulicy nowej.

*Ze zbioru „Strofy o Zielonej Górze”
pod redakcją Zenona Łukaszewicza*

il. Stanisław Para



Wydawca:

Sekcja Historyczna Stowarzyszenia
Pionierów Zielonej Góry,
ul. Stary Rynek 1,
Ratusz - Sala Wspomnień,
65-067 Zielona Góra.

Redakcja:

Redaguje Kolegium w składzie:
Maria Gołębiowska,
L. Krutulski-Krechowicz (fotograf)
Wiesław Nodzyński,
Tomasz Nodzyński,
Wojciech Strzyżewski,

Adres Redakcji:

ul. Stary Rynek 1,
Ratusz - Sala Wspomnień,
65-067 Zielona Góra

Skład komputerowy i opracowanie graficzne:

Heroldia P.R.

Korekta:

Grażyna Karpińska

Okładka:

Repr. Leszek Krutulski-Krechowicz
Rynek; Ratusz w latach 20-tych.

Druk:

Drukarnia „U Lecha”
Zielona Góra

Materiałów nie zamawianych
redakcja nie zwraca. W materiałach
nadesłanych redakcja zastrzega sobie
prawo dokonywania
zmian redakcyjnych.
Za treść reklam
redakcja nie odpowiada.

OD REDAKCJI

Zapraszamy do lektury trzeciego, tym razem letniego numeru naszego pisma. Znajdziecie w nim Państwo kolejne wspomnienia pionierów Zielonej Góry: Jadwigi i Alfonsa Kolibabków o pierwszych po wojnie pracownikach zielonogórskiego browaru, Bronisławy Luboch – poświęcone początkom organizacji Czerwonego Krzyża w naszym mieście oraz Zofii Malinowskiej, traktujące o organizowaniu przedszkoli w regionie zielonogórskim. Maria Gołębiowska opowiada o swych dramatycznych przeżyciach wojennych oraz bardzo interesujących współczesnych powrotach do miejsc, związanych z tymi wspomnieniami. Głos zabiorą też historycy. Tadeusz Dzwonkowski kontynuuje swój cykl, dotyczący dziejów politycznych miasta w latach 1945-1948. Władysław Korcz cofa się w odległą przeszłość, przypominając sylwetki studentów z Zielonej Góry na Uniwersytecie w Krakowie w XV i XVI wieku. To ciekawy przykład powiązań losów leżącego już wówczas poza granicami Królestwa Polskiego miasta z polską nauką i kulturą. Z polskim akcentem w jego dziejach wiąże się też historia ewangelickiego kościoła św. Trójcy w latach ok. 1590-1809, o którym pisze Grzegorz Chmielewski. Witamy też na naszych łamach związanego niegdyś z „Gazetą Lubuską” i „Nadodrzem” Zenona Łukaszewicza, który krótko wprowadza w tematykę obrazu przesiedleń ludności polskiej po II wojnie światowej w wybranych utworach literackich. Cykl wspomnień pod tytułem „Rozmyślenia po północy” rozpoczął w tym numerze dyrektor Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze, Jan Muszyński.

Polecamy stałe rubryki „Pionierów”, mające tym razem już trochę wakacyjny charakter: kolumnę młodzieżową, Wieści Ekologiczne, wycieczkowe Okolice Zielonej Góry oraz letnie przepisy Babuni. Życzymy przyjemnej lektury!

P.S. Zwracamy się po raz kolejny do wszystkich pionierów Zielonej Góry z lat 1945-1950 (zarówno zrzeszonych, jak i nie zrzeszonych w SPZG) z gorącą prośbą o współpracę z naszym pismem. Interesują nas i naszych Czytelników Państwa wspomnienia (pisemne lub ustne), dokumenty, pamiątki, fotografie. Wszystkich zainteresowanych prosimy o kontakt z osobami dyżurującymi w Sali Wspomnień w Ratuszu (codziennie od 11⁰⁰ do 17⁰⁰, w niedziele od 11⁰⁰ do 14⁰⁰, tel. 25-58-53).

Tadeusz Dzwonkowski

POCZĄTKI ŻYCIA POLITYCZNEGO

Organizację administracji państwowej i samorządowej prowadzono w atmosferze mobilizacji narodu okaleczonego przez wojnę, przy dużych brakach kadr. Brak było ostatecznego ustalenia granic zachodnich nowego państwa. Pozostawał również nierozstrzygnięty jego model ustrojowy. Z jednej strony istniał wspierany przez ponad milionową Armię Czerwoną „rząd lubelski”, nazywający się Rządem Tymczasowym i mający własne wojsko. Z drugiej strony na uchodźstwie funkcjonował zachowujący ciągłość konstytucyjną rząd Rzeczypospolitej Polskiej, wspierany przez szereg mniejszych organizacji konspiracyjnych.

Pod naciskiem państw zachodnich 16 czerwca 1945 r. doszło w Moskwie do ugody reprezentantów Rządu Tymczasowego m. in. Bolesławem Bierutem i Władysławem Gomułką i przedstawicieli części politycznego środowiska emigracyjnego w Londynie na czele ze Stanisławem Mikołajczykiem. 28 czerwca 1945 r. Bolesław Bierut jako przewodniczący namiastki Sejmu, jakim była Krajowa Rada Narodowa, powołał Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej. Premierem został Edward Osóbka-Morawski, jednym z wicepremierów Stanisław Mikołajczyk.

Na Ziemiach Zachodnich i Północnych partie polityczne rozpoczynały działalność ze znacznym opóźnieniem. Najczęściej inicjowali ją emisariusze kierowani przez władze centralne. Do nich należał oficer Wojska Polskiego Henryk Laskowski. Został on „przydzielony” przez KW PPS w Krakowie do pomocy wojewodzie Piaskowskiemu. Do Zielonej Góry przybył w maju z nominacją na zastępcę pełnomocnika KERM. Jednak brak wzajemnego porozumienia z inż. Paszyńskim spowodował, że Laskowski nie angażował się w prace grupy operacyjnej. Krótki okres służył jednak w straży przemysłowej. Dzięki wsparciu pracownika starostwa A. Trofimiuka oraz przysłanego z Poznania Leonarda Środy, który oprócz PPS miał organizować również Biuro Informacji i Propagandy, zgromadzono kilku chętnych, gotowych przystąpić do PPS. Niebawem znaleźli się następni. Kilkunastu z nich było członkami PPS przed 1939 r. Już 13 lipca 1945 r. zwołano pierwsze zebranie organizacyjne. Według prezentowanych wówczas danych zielonogórska PPS liczyła 84 członków stałych oraz 117 sympatyków.

PPS ustanowiła swych pełnomocników w Bojadłach, Droszkowie, Starym Kisielinie i w Zaborze. Wkrótce

okazało się, że do partii socjalistycznej należą grupy przedstawicieli zielonogórskiego handlu i rzemiosła oraz urzędnicy. Większość z nich nie знаła programu ugrupowania i jego celów politycznych. Nie byli oni zainteresowani bezpośrednim udziałem w pracy partyjnej. W przypadku trudności stanowili jednak solidne oparcie i nie szczędzili wsparcia finansowego. Z drugiej strony liczyli na wstawiennictwo aparatu partyjnego.

15 lipca 1945 r. zorganizowano pierwszą Powiatową Konferencję PPS. Wzięło w niej udział 23 delegatów wyłonionych wśród członków i 29 wśród sympatyków. Przewodniczącym Powiatowego Komitetu został miejscowy stolarz Stanisław Mischke. Sekretarzem mianowano Henryka Laskowskiego, skarbnikiem wspomnianego A. Trofimiuka. Ponadto w składzie Powiatowego Komitetu znaleźli się Stefan Dudziński, Franciszek Filipowski, Leonard Środa oraz Jan Wrzos. Stanisław Zawisła i Kazimierz Kawka otrzymali wówczas zadanie zorganizowania Związku Młodzieży Towarzystwa Uniwersytetów Robotniczych. Bieżącym zadaniem było zorganizowanie stołówki partyjnej, urządzenie lokalu i założenie kilku spółdzielni w mieście.

Tuż po zakończeniu konferencji w gronie kilku osób uznano, że władze miejskie działają na szkodę społeczności miejskiej i PPS powinna się im przeciwstawić. To Henryk Laskowski związany z bundowską, prokomunistyczną frakcją tej partii rozpoczął montowanie opozycji wobec Jana Klementowskiego i Tomasza Sobkowiaka. Można przypuszczać, że takie zadanie otrzymał od swego znajomego jeszcze z czasu pobytu w Krakowie - Jana Konrada Janaska, który został skierowany do Poznania i tam został członkiem władz wojewódzkich PPS. Aby osiągnąć zakładany cel, postanowił współdziałać z Polską Partią Robotniczą.

Prace organizacyjne nad utworzeniem tej partii rozpoczęto znacznie wcześniej. Prowadził je Herman Pinkesfeld. Przybył on z Kielc. Jako członek grupy operacyjnej miał misję zorganizowania PPR. 3 lipca do Zielonej Góry przyjechał inspektor Komitetu Centralnego Wróblewski. Wówczas odbyło się pierwsze spotkanie organizacyjne. Wzięli w nim udział Leon Buchwald, Tadeusz Jasiewicz, Bronisław Ranke, Jan Schneide i Jan Woźniak. Już 10 lipca na budynku, gdzie miała siedzibę

grupa operacyjna, wywieszono afisze wzywające członków PPR do meldowania się u Hermana Pinkesfelda.

Jednakże do organizacji PPR zgłaszali się nieliczni. W odróżnieniu od PPS komuniści nie posiadali dobrej opinii u ludności pochodzącej przeważnie z Wielkopolski. Burmistrz Tomasz Sobkowiak zupełnie otwarcie mówił o zdradzie Polski w Jalcie i obwinił o to PPR. Przeważały opinie o budowie siedemnastej republiki radzieckiej. Niektórzy dystansowali się od semickiego założyciela miejscowego koła, inni zdawali sobie sprawę, że władza w mieście i powiecie należy do osób o poglądach dalekich od komunistycznych poglądów sekretarza Pinkesfelda.

Tymczasem z Legnicy, gdzie była siedziba władz wojewódzkich PPR, dochodziły głosy, że niebawem Zielona Góra zostanie przyłączona do województwa poznańskiego. Decyzja zapadła już 27 maja 1945 r., na naradzie pełnomocników okręgowych w Warszawie. Została ona usankcjonowana Uchwałą Rady Ministrów z 7 lipca 1945 r. W tej sytuacji władza Jana Klementowskiego, zwłaszcza Tomasza Sobkowiaka uległa wzmocnieniu. Posiadali oni dobre kontakty z Polskim Związkiem Zachodnim i oparcie wśród aparatu urzędniczego wojewody poznańskiego Feliksa Widy-Wirskiego. Zyskał również Henryk Laskowski, odcięty od swych towarzyszy partyjnych w Legnicy został Herman Pinkesfeld.

W związku ze zmianą przynależności administracyjnej, do Zielonej Góry przyjechał kierownik Wydziału Organizacyjnego KW PPR w Poznaniu Blachowski oraz instruktor tegoż Komitetu Bolesław Wojkowski. Przyjazd przełożonych zmobilizował Pinkesfelda. 16 lipca wystąpił o przydział lokalu. Otrzymał budynek przy Rynku, gdzie na dole zorganizowano sklep spożywczy zwany później Delikatesami. Do 22 lipca 1946 r. dzierżał go Hieronim Królikiewicz. Na piętach urządzono biura partyjne i mieszkanie dla Heleny i Hermana Pinkesfeldów. Niebawem ogłoszono powstanie Komitetu Powiatowego. I sekretarzem został Herman Pinkesfeld, jego zastępcą pracujący w Grupie Operacyjnej Tadeusz Jasiewicz. Za sprawy propagandy odpowiadał Bronisław Ranke. Rolnictwem miał zajmować się Leon Buchwald.

W tym czasie inne partie polityczne znajdowały się w stadium organizacji. Pełnomocnictwa do tworzenia Stronnictwa Demokratycznego posiadał Czesław Wielgosz, ale do końca 1945 r. nie był w stanie zorganizować instancji powiatowej. W połowie lipca do Zielonej Góry przybył Józef Kwaśniewicz. Wraz ze starostą Klementowskim, który należał do Stronnictwa Ludowego, już wcześniej rozpoczął on starania o założenie tej partii. Niebawem powołano 16 osobowe koło zielonogórskie. Składało się ono przede wszystkim z urzędników starostwa i zarządu miejskiego. Prezesem był Jan Klementowski, sekretarzem Józef Kwaśniewicz, skarbnikiem Franciszek Baksalary. Pierwsze koło Stronnictwa Ludowego na wsi powstały

dopiero w sierpniu. 8 sierpnia 13 osób założyło koło w Łężycy na czele z Franciszkiem Budzyniem i Leopoldem Hamerą. Inicjatorem koła SL w Chynowie był Leon Senderek i Bolesław Magdziarz. Na zebraniu założycielskim, które zwołano 17 sierpnia było obecnych 27 osób. Pod koniec sierpnia był już 22 koła wiejskie. 6 września Władysław Sztandera założył koło w Zawadzie.

Już u progu istnienia zielonogórskiej PPR nabrzmiewał w niej konflikt. Coraz bardziej sceptyczni wobec „klasowych” teorii sekretarza Pinkesfelda byli niektórzy urzędnicy. Ich zdaniem PPR miała mieć charakter ogólnonarodowy, co w praktyce potwierdzały liczne fakty dystansowania się od partii. W końcu lipca zielonogórska PPR liczyła zaledwie 62 członków. Na początku lipca do Zielonej Góry przyjechał z Krakowa Ireneusz Cichacz, który wzmocnił organizację. Jako krewny Leona Kruczkowskiego i były woźny Izby Przemysłowo-Handlowej posiadał osobiste kontakty z niektórymi członkami centralnego kierownictwa PPR.

Bardzo szybko doszło do porozumienia między Pinkesfeldem i Laskowskim. Pinkesfeld pragnął rozprawić się z opozycją wśród własnej grupy, Laskowski starał się uzyskać przewagę nad Stanisławem Mischke. Ponadto zakładano, że konflikt ze starostą Janem Klementowskim przyniesie wzmocnienie struktur obu partii. Sposób był prosty. Należało wykorzystać nadchodzący okres żniw jako okazję do prezentacji PPR i PPS, ale jednocześnie wykazać starości brak umiejętności w zarządzaniu powiatem. Dlatego też, 18 lipca na wspólnym zebraniu przedstawicieli obu partii, Herman Pinkesfeld oskarżył Klementowskiego o brak przygotowań do zbiorów. Przypuszczono również atak na Urząd Mieszkaniowy utworzony przez Sobkowiaka. Głównym powodem był fakt, że żadna z partii nie miała wpływu na rozdział mieszkań. Po naradzie przedstawiciele PPR i PPS udali się do biura starosty. Byli już tam obecni reprezentanci organizujących się SL i SD. Pinkesfeld zażądał od Klementowskiego natychmiastowego rozpoczęcia akcji żniwnej. Oburzony starosta podkreślił, że władze powiatowe już dawno podjęły niezbędne czynności i za organizację akcji odpowiedzialny jest komisarz ziemski Bronikowski. Zauważył jednak, że brak sprzętu rolniczego może stanowić istotną przeszkodę w przeprowadzeniu żniw.

20 lipca grupy mieszkańców Zielonej Góry, w tym także pozostali w mieście Niemcy, udali się na pola. Od pracy żniwnej zwolniono urzędników sprawujących funkcje kierownicze, członków władz powiatowych PPR i PPS oraz kobiety w ciąży. Pod ratuszem zbierano grupy mieszkańców Zielonej Góry i wywożono je do prac żniwnych. Pod koniec sierpnia na pole wychodziły regularnie już tylko grupy Niemców. W niektórych folwarkach odwołano się do pomocy Wojska Polskiego. Pomagali także niektórzy żołnierze Armii Czerwonej. Szczególnie

cenny okazał się przydział koni, zajętych wcześniej przez podkomendnych gen. Borysowa.

28 lipca do Zielonej Góry ponownie przyjechał Bolesław Wojkowski. Najprawdopodobniej już wówczas posiadał nominację na sekretarza Komitetu Powiatowego. Towarzyszył mu delegat Komisji Przesiedleńczej w Konińskim por. Jan Molski. Zabiegał on u starosty i burmistrza o przyjęcie aż 6 000 chętnych do wyjazdu na Zachód. Była to grupa osadników zorganizowana przez PPR. Jej sprowadzenie stworzyłoby potencjalne zagrożenie dla dotychczasowych władz w Zielonej Górze. Miejskowe władze starały się zneutralizować negatywne wrażenia delegata. Zwołano zebranie delegatów wszystkich partii politycznych. Propozycja Molskiego rozplynęła się jednak w mało konkretnej dyskusji i utyskiwaniem nad ciężką sytuacją w Zielonej Górze. Wskazywano również na faktyczne przeszkody: brak żywego inwentarza koniecznego dla osadnictwa na wsi i niemożność szybkiego uruchomienia dużych zakładów przemysłowych.

Obiektywne trudności nie wpłynęły na powstrzymanie akcji osiedleńczej. Do miasta i okolicznych wiosek zaczęły przyjeżdżać pierwsze transporty Polaków zamieszkałych dotychczas na byłych wschodnich terenach Rzeczypospolitej. 1 sierpnia w Zielonej Górze mieszkało 2 670 Polaków. Natomiast miesiąc później było zameldowanych już 5 669 osób. W celu regulacji strumienia osadników w ostatnich dniach lipca władze wojewódzkie skierowały do Zielonej Góry komisarza osiedleńczego Władysława Zagierskiego.

Gdy okazało się, że poprzedni atak na Klementowskiego nie przyniósł spodziewanych efektów, 30 lipca doszło do ponownego spotkania przedstawicieli partii politycznych i najważniejszych urzędów w mieście. W ich obecności Pinkesfeld ponownie zaatakował Miejski Urząd Kwaterunkowy, zarzucając mu brak właściwego zarządzania lokalami. Ostatecznie wszyscy zgodzili się na powołanie Komisji Mieszkaniowej. Miała ona opiniować przyznawanie lokali. W jej składzie znaleźli się: Franciszek Kubicki z ramienia PPR, Stanisław Mischke z PPS i Józef Kwaśniewicz reprezentujący SL. Pinkesfeld uznał organizację komisji za swój sukces. Wysunął więc projekt utworzenia kolejnej komisji, tym razem „kontrolującej przyznawanie przedsiębiorstw”. Ponieważ również starosta i burmistrz negatywnie oceniali działania grupy operacyjnej, propozycja ta spotkała się z ich poparciem. Padły opinie, że przedsiębiorstwa zostały „wyszabrowane”, w dużej części nie przeprowadzono dotychczas inwentaryzacji a straż przemysłowa zamiast pilnować mienia zajmowała się „szabrem”. Klementowski argumentował, że nie posiada kompetencji, aby zdjąć z urzędu pełnomocnika KERM. W końcu w składzie Komisji Kontrolnej Przemysłowo-Handlowej znaleźli się: Telesfor Korasiak z PPR, Stanisław Mischke z PPS, Berkowski reprezentujący SD, Jan Ślusarczyk z SL, Muelndner-Nec-

kowski reprezentujący starostę, Krwawicz - grupę operacyjną, komisarz Władysław Zagierski, wiceburmistrz Czesław Wielgosz oraz Kazimierz Górny z Tymczasowego Zarządu Państwowego.

Utworzenie Komisji było częściowym sukcesem PPR. Nie posiadając reprezentantów w miejscowych władzach gospodarczych partia ta uzyskała wgląd w ich działalność. Niemalże natychmiast Pinkesfeld zażądał od Kazimierza Krwawicza przywrócenia sklepu dla swego zwolennika Klemensa Stachowiaka i przydziału kilograma masła dla partyjnej stołówki.

Również PPS poczuł się współgospodarzem miasta. Na drugim posiedzeniu Powiatowego Komitetu, zwołanym 23 lipca, socjaliści z wielką troską rozmawiali o akcji zbiórki owoców w sadach. Pojawiły się głosy, aby w tym celu zaangażować dzieci, które ukończyły ósmy rok życia. Pomysł ten spotkał się ze sprzeciwem burmistrza. Kolejne posiedzenie Komitetu poświęcono organizacji Towarzystwa Uniwersytetów Robotniczych. Henryk Laskowski zdecydowanie nalegał na tworzenie lokalnych spółdzielni. Zaprezentował stosowne przepisy i projekty statutów. Jednocześnie, odstępując od uzgodnień z Pinkesfeldem, zaproponowano Stanisława Mischke na przewodniczącego Komisji Przemysłowo - Handlowej. Następnego dnia, 5 sierpnia zwołano walne zebranie socjalistów. Uczestniczyło w nim około 60 osób. Wyłoniono wówczas Miejski Komitet PPS. Jego przewodniczącym został Piotr Parchalski. Obecnie na zebraniu Władysława Zagierskiego obwołano wiceprzewodniczącym PK.

Aktywizacja PPS nasilała się wraz z coraz częściej ujawnianymi zaniedbaniami w działalności grupy operacyjnej. Motorem tych oskarżeń był Leonard Środa. Już 5 sierpnia wyjawiał on fakty kradzieży dokonywanych przez członków straży przemysłowej. Biły one zarówno w Krwawicza jak i niektórych członków PPR pracujących w straży. Zresztą na tym tle doszło do kolejnej kłótni w Komitecie Powiatowym tej partii.

6 sierpnia ponownie spotkały się gremia kierownicze obu partii lewicowych. I tym razem nie zabrakło krytyki pod adresem władz miejskich. Przewidywano, że jesienią może wystąpić brak chleba. Dlatego też problemom aprowizacji i żywności poświęcono dwa kolejne posiedzenia Komitetu Powiatowego PPR, 14 i 16 sierpnia. Nerwową atmosferę dyskusji pogłębiały pogłoski o akcjach strajkowych, które wybuchały tu i ówdzie w centralnych częściach kraju. Główną przyczyną był brak żywności. Zebranych uspokajał Jan Molski. Obiecywał sprowadzenie 2 000 ton zboża ze spichlerza w Konińskim.

Generalny atak na władze miejskie przeprowadzono 18 sierpnia. Henryk Laskowski twierdził wprost, że „w Zarządzie Miejskim wszyscy do śniadania piją mleko, a dzieci nasze o tym nawet marzyć nie mogą”. Postulat ten znalazł posłuch wśród większości zebranych. W tym kontekście sprawa żywności stawała się drugorzędna, chociaż i

wówczas zastanawiano się nad sprawnym przeprowadzeniem zbiorów. Postulowano stosowanie przymusu bezpośredniego wobec Niemców, aby - jak to zostało najdelikatniej nazwane - „nie spacerowali po ulicy”. Burmistrz, który tworzenie obozów pracy przymusowej po zakończeniu wojny uważał za akt barbarzyństwa, odpierał zarzuty o germanofilstwo. Tłumaczył się brakiem odpowiednich przepisów prawnych. Sobkowiaka zaatakowano również za długotrwałą obecność Niemców w mieście, w tym w założonej 13 lipca Miejskiej Straży Pożarnej, w której, jak napisano, „Polak jest tylko woźnym”. Oskarżenia padały na podatny grunt społeczny. Nierzadko w negatywnym zachowaniu wobec Niemców upatrywano możliwości rekompensaty za przeżycia w okresie wojny.

Tymczasem 2 sierpnia obradujący w Poczdamie przedstawiciele: Anglii, Stanów Zjednoczonych i Związku Radzieckiego podpisali protokół, w którym ustalono, że „do chwili ostatecznego wyznaczenia zachodniej granicy Polski, dawne obszary niemieckie” na wschód od linii Odra-Nysa „pozostaną pod zarządem Państwa Polskiego” do czasu zawarcia traktatu pokojowego. Większość prasy kontrolowanej przez duet PPR-PPS uznała to za ogromny sukces prosowieckiej polityki ugrupowań lewicowych, pomijając fakt, że sam Związek Radziecki był zainteresowany pozostaniem jedynym gwarantem polskiej przynależności tych Ziemi. Niemniej, większości mieszkańców powiatu zielonogórskiego, decyzje poczdamskie przyniosły ulgę. Było już jasne, że zostanie on w granicach Polski. Dlatego też zielonogórzanie wzięli masowy udział w „wielkiej manifestacji z powodu przynależności Ziemi Polskich między Odrą a Nysą” zorganizowanej przez starostę 25 sierpnia.

Przedstawiciele PPR i PPS zdawali sobie sprawę, że jednym z podstawowych warunków koniecznych do sprawowania faktycznej władzy w powiecie jest przejęcie nadzoru nad majątkiem poniemieckim. 25 sierpnia 1945 r. Laskowski postawił nawet wniosek „o roztoczenie kontroli nad ob. Górnym i całym Tymczasowym Zarządem”. „Nad mieniem państwowym kontrolę powinna mieć partia” - dowodził. Wydawało się, że po raz kolejny dojdzie do konfrontacji ze starostą. Tymczasem 31 sierpnia ze stanowiska członka KP PPR zrezygnował Tadeusz Jasiewicz. Niespodziewanie z Zielonej Góry wyjechał Pinkesfeld. Niektórzy mieli nadzieję, że wspólne drogi PPS i PPR się rozeszły.

W tej sytuacji zaczął się tworzyć nowy układ partyjno-towarzyski. Najważniejsze zmiany nastąpiły w PPR. I sekretarzem wybrano Bolesława Wojkowskiego. Wśród 10 członków Komitetu Powiatowego, który te-

raz zyskał na znaczeniu, było 2 urzędników starostwa; Ireneusz Cichacz i Władysław Grzybowski. Alojzy Koszykowski z polecenia władz wojewódzkich partii pracował w drukarni. Telesfor Korasiak był zatrudniony w Tymczasowym Zarządzie Państwowym. Przybyły z Poznania Marian Sieg i Michał Urbaniak pozostawali bez pracy. Wkrótce z miasta wyjechał Zygmunt Malinowski. Jego miejsce zajął Władysław Jacak przysłany w połowie września przez WUBP. W składzie Komitetu znalazł się również Jan Kurzawa oraz sklepikarz Franciszek Skrzypczak. Od 10 września członkiem KP był także Antoni Przybylski, skierowany przez KW PPR do organizacji Związku Samopomocy Chłopskiej. We wrześniu 1945 r. zielonogórska PPR liczyła 156 członków, zorganizowanych - jak wówczas określano, w 11 komórkach. Problemem pozostawała jednak budowa partii na wsi.

Gdy na chwilę osłabła walka polityczna, niemalże wszyscy zauważyli, że kolejnym zadaniem, które należy podjąć z udziałem całego garnituru sił politycznych, jest zagospodarowanie ziemi po przeprowadzonych zbiorach. Według przyjętych zwyczajów wyłoniono czteroosobową komisję międzypartyjną. Miała się ona zająć nadzorem tych agend państwowych, które odpowiadały za akcję siewną. W Komisji Międzypartyjnej PPR reprezentował Korasiak, PPS - Jan Kubiak, SD - Rutkowski i SL - Bolesław Magdziarz. Podobnie jak podczas żniw brakowało sił pociągowych. 4 traktory przysłane na początku sierpnia zostały przechwycone przez żołnierzy Armii Czerwonej. Zapewnienia o przysłaniu dalszych 28 nie zostały zrealizowane do 15 września. Wysłano więc sekretarza SL Józefa Kwaśniewicza i Ireneusza Cichacza do Poznania. Ci jednak, prócz kolejnych zapewnień, nic nie przywieźli. Już wcześniej, przewidując rozwój wydarzeń, starosta Klementowski polecił sporządzić wykaz koni pozostałych na wsiach. Naliczono ich „więcej niż 300”. Jednakże rolnicy nie chcieli udostępniać koni są-



Repatrianci w punkcie rozdzielczym w Łodzi.

siadom. Jeszcze w październiku 1945 r. większość pól leżała odłogiem. Brakowało również zboża pod zasiew.

18 lipca 1945 r. urodził się w Zielonej Górze pierwszy polski obywatel, Tadeusz Piłat. Ochrzczono go uroczystości, 15 sierpnia w południe, w kościele pw. św. Jadwigi. W uroczystości uczestniczyli burmistrz i starosta. Honorowym ojcem chrzestnym był wojewoda poznański. Proboszczem jedynej parafii Kościoła katolickiego w Zielonej Górze był nadal ksiądz Georg Gottwald. W domu parafialnym mieszkał także były proboszcz z Mińska, ks. Schubert. Czasowo przebywał w Zielonej Górze podający się za oblata ks. Gołombek. W sierpniu przybył augustianin ks. Wasilewski, który najprawdopodobniej na początku września opuścił miasto. Msze św. odprawiano wspólnie dla Polaków i Niemców. Podczas nabożeństw Polacy śpiewali polskie pieśni. Ewangelię czytał Tomasz Sobkowiak, Mszę św. w języku łacińskim celebrował wspomniany ks. Georg Gottwald.

22 września 1945 r. zorganizowano pierwsze „Święto Winobrania”. Uroczystości rozpoczęto w sobotę zabawą taneczną. W niedzielę, 23 września, odbyło się nabożeństwo w kościele. Na rynku zorganizowano targ winny. Przed obecnym wówczas w mieście wojewodą Widy-Wirskim, gen. Borysowem oraz starostą przemaszerował pochód niosący kosze darów ziemi. Świadomie nawiązywano do tradycji winobrania zaleszczykowskich, co miało podtrzymać tradycje byłych wschodnich obszarów Rzeczypospolitej.

Masowy przyrwył uchodźców i wysiedlonych z byłych polskich ziem wschodnich nastąpił już w końcu sierpnia. Miasto nie było przygotowane na ich przyjęcie. Niektórzy nieraz tydzień czekali na przydział lokalu. Okazywało się bowiem, że nie ma mieszkań. Komisja Mieszkaniowa nie była w stanie efektywnie zarządzać posiadanym „zasobem mieszkaniowym”. Podobnie działała Komisja Przemysłowo-Handlowa. Dochodziło do częstych nadużyć. Ich przykładem może być przyznanie przewodniczącemu Wojewódzkiej Rady Narodowej Kazimierzowi Cielejewskiemu, zamieszkałemu w Poznaniu, budynków gospodarczych i ziemi uprawnej w Zielonej Górze przy Altkeselerstrasse 50, gdzie mieszkała przeznaczona do wysiedlenia Erna Post.

Faktyczną władzę nad miejskimi zasobami lokalowymi przejął szef PUBP Władysław Orłowski. Korzystając z prawa pierwszeństwa przy zajmowaniu mieszkań i tajnych rozkazów swych przełożonych prowadził własną, niezależną politykę. Polegała ona na systematycznym wysiedlaniu Niemców i zajmowaniu ich dobytku. Szef PUBP dysponował nawet kluczami do poszczególnych lokali. Jan Kubiak, który kierował Urzędem Mieszkaniowym, kilkakrotnie interweniował u starosty i w KP PPS. Interwencje kończyły się najczęściej na ostrej wymianie zdań między Klementowskim i Orłowskim.

Władze powiatowe długo nie mogły ograniczyć samowolnych działań szefa PUBP. Ogłoszono nawet, że funkcjonariusz tego urzędu Śledzikowski „samotnie zajmuje aż 6 pokoi”. 8 września Stanisław Mischke mówił wprost, że „nie wiadomo czy to UB decyduje o mieszkaniach czy Komisja Mieszkaniowa”.

Wraz z napływem ludności wzrastała także liczba bezrobotnych. Najwięcej zakładów przejęto z rąk Armii Czerwonej w lipcu i w sierpniu. Także we wrześniu urzędnicy grupy operacyjnej spisali inwentarz byłych Zakładów Mostów i Wagonów „Beuchelt et Co.”. Przekazano je oficjalnie dopiero 15 października. Podsumowując swoje uwagi w protokole inwentaryzacyjnym o stanie parku maszynowego komisja inwentaryzacyjna napisała, że „w zasadzie uległ on zniszczeniu”. Wielkogabarytowe suwnice były pozbawione silników, co jeszcze w 1946 r. ograniczało możliwości rozwoju produkcji. 31 grudnia 1945 r. zatrudniano już 568 pracowników fizycznych i umysłowych. Do tego czasu uporządkowano hale produkcyjne i rozpoczęto kompletowanie maszyn.

Dopiero 20 października udało się uruchomić produkcję w byłej Fabryce Wyrobów Wełnianych „Janke et Co.”. Jej dyrektorem mianowano Józefa Masłowieckiego. Do Zielonej Góry przybył on już w pierwszej połowie sierpnia z Fast Białostockich na czele grupy włóknarzy. Dodatkowe miejsca pracy uzyskano po uruchomieniu przejętego 18 lipca zakładu Eisenhuettenwerk - Babrowski. Otrzymał on uroczyste nazwę Fabryka Żeliwa. Pierwszym dyrektorem zakładu został Kazimierz Koźma. Już we wrześniu wyprodukowano kilkadziesiąt płyt kuchennych, drzwiczek i rusztów do pieców.

Działania starosty w sferze gospodarczej starała się zdyskontować politycznie miejscowa organizacja PPS. Jej członkowie znajdowali w spółdzielczości lekarstwo na większość problemów ekonomicznych. Dlatego też tworzyli niewielkie, najczęściej kilkusobowe spółdzielnie, będące w istocie spółkami. Już we wrześniu funkcjonowały spółdzielnie transportowców i stolarzy. Z chwilą wprowadzenia wolnego obrotu towarowego żywnością, zakładano niewielkie spółdzielnie spożywców. Większość z nich nie przetrwała nawet jednego roku. Sztandarową pozostała jedynie Spółdzielnia „Robotnik”, którą w Zielonej Górze powołano 8 września 1945 r.

Mimo uwolnienia cen żywności, nadal w mieście obowiązywało zaopatrzenie „kartkowe”. Trudno było bowiem o podstawowe artykuły żywnościowe. W drugiej połowie września przysłano do Zielonej Góry 60 wagonów ziemniaków, 5 ton marmolady i 10 ton mąki z przeznaczeniem dla ludności z całego powiatu. Według wycieńszeń referentów aprowizacji, ilości te mogły wypełnić zaledwie dwumiesięczne zapotrzebowania. Bez dodatkowej pomocy, zwłaszcza zagranicznej, nie można było planować przetrwania zbliżającej się pierwszej zimy. Narzekano na „fałszowanie” produktów spożywczych.

Trzy razy w Falkensee

W połowie ub. roku na prywatny adres p. Marii Gołębiewskiej, mieszkanki Zielonej Góry od pierwszych powojennych lat, dzisiaj przewodniczącej Sekcji Historycznej Stowarzyszenia Pionierów Zielonej Góry, wpłynął list od władz miejskich Falkensee z zaproszeniem do złożenia wizyty. W tej podberlińskiej miejscowości w czasie wojny znajdował się obóz będący filią obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen. Przebywało w nim kilka tysięcy, głównie młodych ludzi różnych narodowości, zatrudnionych w zakładach produkcyjnych Siemens i DEMAG-u. Niemal do ostatnich dni wojny trwała tu produkcja sprzętu na potrzeby niemieckiej ar-



Pani Maria Gołębiewska objaśnia plan obozu w Falkensee.

mii. Wśród tych ludzi była Maria Stallecka, później Gołębiewska. Miała wtedy 16 lat i jak twierdzi – na całe szczęście była z nią matka, która była jej dobrym duchem i opiekunem. To była piekło, gdyż naziści szaleli czując zbliżający się koniec (był już 1944 rok). Obrazu inferna dopełniały alianckie naloty bombowe z dokładnością zegarka: Anglicy o 21⁰⁰, Amerykanie co niedzielę o godz. 11⁰⁰. Berlin nieustannie płonął.

Teraz, kiedy rozmawiamy o tym w położonym na Wzgórzu Braniborskim domu pani Marii pełnym rodzinnych pamiątek, zdjęć, dokumentów – trudno się oprzeć pytaniu: jak do tego doszło?

– Przecież była wojna i zewsząd groziły niebezpieczeństwa. Mieszkaliśmy na wschodnich rubieżach Rzeczypospolitej. Do 1939 roku w Szostakowie, gdzie nasi pradiadkowie i dziadkowie mieli nieduży majątek ziemski. 30 km od Brześcia nad Bugiem, między Wysokim Litewskim a Kamieńcem Litewskim. Ojciec, Teodor Stallecki z wykształcenia agronom z tytułem dr inż, świetnie sobie tu radził. Do dzisiaj myślę o tym miejscu jak o Arkadii Szczęśliwej, widzę ten wygodny dom, piękny ogród i sad, stawy, w których nie brak było ryb. Rodzina była zakorzeniona w tej okolicy od pokoleń. Wszyscy tu sporo znaczyli i stanowili, podobnie jak inni, mocny ośrodek polskości. Dość powiedzieć, że właśnie tu, w Szostakowie urodził się Romuald Traugutt (1826-1864), generał, dyktator w powstaniu styczniowym, jak wiadomo – przegranym.

W związku z koniecznością rozpoczęcia nauki w szkole średniej w Brześciu, rodzice załatwili mi tam mieszkanie. I na całe szczęście, bo po 17 września 1939 stanowiło ono schronienie dla nas wszystkich, tzn. dla mnie, mamy i ojca. W Szostakowie nie byliśmy bezpieczni. Wkrótce zresztą zaczęły się wywózki na wschód, a nasz majątek został wcielony do kołchozu.

Ale i tutaj nie byliśmy spokojni. NKWD nie spuszczało nas z oczu. Wszystko o nas wiedzieli. Wkrótce otrzymaliśmy nakaz opuszczenia Brześcia w ciągu 24 godzin i udaliśmy się tylko z podręcznym bagażem do Kobrynia. Tam ojciec zaczął pracować, co było podstawą legalizacji naszego pobytu. Cały czas byliśmy jednak przygotowani do deportacji w głąb ZSRR. Po wkroczeniu Niemców w 1941 r. wróciliśmy do Brześcia. Jest prawdą, że nie wszystkich jednak wywieźli i do końca w Brześciu i w okolicy pozostała spora liczba Polaków. Nas nieszczęście spotkało dopiero ze strony Niemców na początku 1944 r. W rezultacie współpracy naszej rodziny z polskim ruchem oporu zostaliśmy aresztowani przez gestapo. I tak w przedostatnim roku wojny znalazliśmy się z matką w obozie koncentracyjnym w Falkensee. Jak się później okazało, ojciec trafił do obozu w Kostrzynie nad Odrą.

To było nowe i z niczym wcześniej nie porównywalne doświadczenie. Drewniane baraki, otoczone drutem kolczastym, strażnicy z psami i „wachy” na wieżyczkach. Drewniane, twarde pryzce. Przeróżne zimno, przed którym nie chroniły więzienne drelichy. I praca od świtu do nocy. Jak już wspomniałam, więźniowie (i więźniarki) pracowali w zakładach Siemens i DEMAG-u. Za całe pożywienie musiała im starczyć rano kawa z palonych żołądź i czarny chleb z ich domieszką, w południe zupa z kalarepy lub brukwi i wieczorem znowu kawa i chleb wydzielony co 10 dni. Nie mogę przy tej okazji nie wspomnieć o dostawcy Schulzu, który zaopatrywał obozowe magazyny. To była piękna postać. Z narażeniem życia pomagał wielu więźniom, zaopatrując ich w żywność.

Ja pracowałam w „krankenstube”, która zawsze była prze-



Tablica poświęcona historii obozu.

pełniona. Dysponowaliśmy na ogół tylko aspiryną, jodyną i środkami opatrunkowymi. W czasie bombardowań wynosiliśmy chorych do specjalnie przygotowanych schronów przeciwlotniczych. Nie zapomnę wigilii 1944: nakryliśmy stoły prześcieradłami ściągniętymi z łóżek, opłatek zastąpił nam chleb. Była to piękna wigilia, bo kiedy się przyłożyło ucho do ziemi, słysząc było już dudnienie rosyjskich dział nad Odrą. Wojna zmierzała do finału. Widać to było po nazistach, którzy wyraźnie spuścili z tonu. Amerykanie w Nowy Rok 1945 szczególnie ciężko zbombardowali Berlin, od czego w obozie zrobiło się jasno jak w dzień. W kwietniu Niemcy opuścili obóz, bo walki toczyły się już w pobliżu. Zostaliśmy sami. 24 kwietnia większość więźniów wypędzono z obozu w stronę Nauen, do Elby. Tylko niewielka grupa zdołała się ukryć.

25 kwietnia 1945 r. kanonada wokół obozu bardzo się nasiliła. Pociski padały już na jego teren. Wszyscy byli w schronach, które jakoś tam chroniły. To Niemcy usiłowali się przebić do fabryki DEMAG-u ze zdolnymi do ruchu czołgami w kierunku centrum Berlina. Ja byłam w izbie chorych z ciężko rannymi i chorymi. I wtedy pocisk artyleryjski uderzył w środek baraku. Zostałam ciężko ranna w głowę i w gardło, straciłam palec lewej ręki, nie licząc odłamków w całym ciele. To cud, że żyłam, bo dopiero, gdy Rosjanie opanowali Berlin, trafiłam do szpitala. Były to najcięższe chwile w moim życiu. Wtedy nie mogłam się cieszyć odzyskaną wolnością. Byłam jednak młoda i to chyba pomogło mi powoli wracać do zdrowia. Szczególnie, że odnaleźli mnie rodzice, którym udało się przeżyć i połączyć.

W lecie wyruszyliśmy do Polski. Najpierw do Poznania, później do Zielonej Góry. Nareszcie rozpoczęłam normalne

życie. Wysłałam za męża, mam dwoje dzieci, z których jestem dumna i ukochane wnuki.

A moja ponowna podróż do Falkensee? To była moja obsesja, przecież straciłam tam palec, czyli kawałek siebie. Pierwszy raz pojechałam tam z synem w tydzień po otwarciu granicy z NRD. Za Gierka. Trudno było uwierzyć, że był tam kiedyś obóz, który znalazł się teraz tuż przy Murze. Wiele w nim się zmieniło. W części baraków były jakieś magazyny. Odnaleźliśmy pomnik postawiony przez Rosjan, poświęcony pamięci poległych w obozie. Uporządkowaliśmy teren wokół niego.

Po latach w Zielonej Górze odbyło się polsko-niemieckie spotkanie kobiet. I tam zetknęłam się z przedstawicielką Falkensee. Odbyliśmy długą, pozbawioną przedzeń i nawet serdeczną rozmowę. Po jakimś czasie otrzymałam list od pani sekretarz Urzędu Miasta w Falkensee, o którym mówiliśmy na wstępie. Zaproszenie przyjął. I tak po raz trzeci, w jakże innych czasach i warunkach znalazłam się w tej miejscowości. Odbyłam szereg spotkań w różnych środowiskach. Zaskoczyło mnie jak wielu tutejszych Niemców, zwłaszcza młodych, niewiele albo nic nie wie, co tam się działo. Więc chyba moja wizyta tam spełniła swoją rolę. W towarzystwie burmistrza złożyłam kwiaty na terenie byłego obozu i na obozowym cmentarzu. W Heimat Muzeum w obecności licznie zgromadzonych gości i niemieckiej prasy i telewizji wspominaliśmy obozowy koszmar.

Czułam satysfakcję, że doszło do tego spotkania, tym bardziej, że doznałam wiele serdeczności ze strony przedstawicieli miejscowej społeczności i władz miejskich. Mnie jakby zrobiło się lżej.

Wiesław Nodzyński

KRONIKA PIONIERÓW

Zmarły:

Aleksandra Piłat 15.05.1997 r.
Izabela Pieniżna 12.06.1997 r.



P. Aleksandra Piłat – w środku.

Aleksandra Piłat – urodziła się 25.04.1920 r. w Sarny na Wołyniu. Do Zielonej Góry przybyła 21.05.1946 r. Data wstąpienia do naszego stowarzyszenia – 18.11.1981. Pani Aleksandra brała społecznie czynny udział w organizowaniu Przedsiębiorstwa Ruchu Spółdzielczego SPOŁEM, gdzie za swoją ofiarną i sumienną pracę była nagradzana wieloma dyplomami i wyróżnieniami. Czynnie działała w szkolnym Komitecie Rodzicielskim.

Wyróżniała się pracą w Straży Pożarnej Miejskiej i Wojewódzkiej, czego dowodem jest to, że była nagradzana dyplomami i medalem za sumienną pracę i zasługi tej organizacji. Od listopada 1981 r. była aktywnym członkiem Stowarzyszenia Pionierów Zielonej Góry i od chwili otwarcia Sali Wspomnień dyżurowała społecznie raz w tygodniu jako członkini Sekcji Historycznej. Pracowała także w wielu wspólnotach Kościoła rzymsko-katolickiego. Nasza koleżanka wyróżniała się rozumą, spokojem, obowiązkowością i wielką serdecznością. Była wzorem dla innych ludzi. Cieszyła się ich przyjaźnią i szacunkiem. Ostatnio odznaczona została medalem Zielonej Góry.

Żegnamy Cię, kochana Przyjaciółko

Sekcja Historyczna SPZG

„Aby nie zginęła pamięć”

Magister Helena Solowiej znana była mieszkańcom Zielonej Góry w pierwszych latach odzyskania ziem piastowskich. Przyjechała do Zielonej Góry jako repatriantka w 1945 roku z dalekiego Wilna, aby tu znaleźć swoje nowe miejsce. Widziano ją zawsze, jak spieszyła ulicami naszego miasta z ulicy Wandy, gdzie mieszkała wraz z rodzicami – do Liceum i Gimnazjum przy ul. Licealnej.

Pani Helena była profesorką języka polskiego. Ukończyła Uniwersytet w Wilnie na Wydziale Filologii Polskiej i już przed wojną była nauczycielką w szkołach średnich w Wilnie.

Dla szkoły średniej w Zielonej Górze w roku 1945 była nieocenionym skarbem ze swoją wiedzą pedagogiczną, znajomością przedmiotu, który sama lubiła i potrafiła łatwo przekazać uczącym się. Była bardzo ceniona nie tylko przez władze szkolne, ale i przez uczniów i ich rodziców.

Osobowość pani Heleny była nieprzeciętna, cechowała ją wybitna inteligencja, pogoda ducha, ale także umiejętność pozyskiwania sympatii otoczenia dzięki dużej życzliwości i umiejętności współzycia. Te cechy wpłynęły na wytworzenie się przy szkole niepowtarzalnej atmosfery, do której garnęli się mieszkańcy małego wówczas miasteczka, tworząc wspólnotę towarzyską, tak potrzebną w tych latach pookupacyjnych. Szkoła średnia dzięki temu stała się ośrodkiem spotkań osób z różnych środowisk, bez względu na zapatrywanie czy pochodzenie (repatrianci ze Wschodu, osiedleńcy z poznańskiego czy z centralnej Polski). Niewątpliwie było to zasługą prof. Heleny Solowiej współpracującej z dyrektorem szkoły mgr Błazczykiem oraz profesorami Wandą Żurkówną i Teodozją Koziół-Pytlewską obecnie Szymańską.

Członkowie Komitetu Rodzicielskiego również dążyli do uzyskiwania jak największych korzyści dla początkującej szkoły. Starali się zdobyć środki na zakup potrzebnych sprzętów i pomocy naukowych. Organizowano wspólnie imprezy, zabawy, loterie, ludzie zapoznawali się ze sobą, dyskutowali, poczuli się potrzebni sobie w tej wspólnej trosce o odbudowanie i umocnienie państwowości na ziemiach piastowskich.

Należy podkreślić, że nie tylko organizowano zabawy, ale także obchodzono tradycyjne święta urządzając wspólnie „opłatki” czy „święconki”, które jeszcze bardziej zacieśniały węzły społeczeństwa. Przy księdzu proboszczu oraz szefie Urzędu Bezpieczeństwa i Milicji, który zasiadał przy stole w takich okolicznościach, dys-

kutowano życzliwie nad różnymi problemami ówczesnych czasów. Gromadzili się lekarze, prawnicy, dyrektorzy powstałych przedsiębiorstw, banku, starostwa, Urzędu Miejskiego, nauczyciele szkół podstawowych, partyjni i bezpartyjni. Była to integracja całej inteligencji i ludzi pracy naszego zielonogórskiego społeczeństwa. Klimat wytworzony na tych spotkaniach przetrwał w pamięci przez długie lata i niewątpliwie pozytywnie wpłynął na umocnienie więzi międzyludzkich. Odnalazł się on w obecnie działającej Sekcji Pionierów.



Pierwsza z prawej Helena Solowiej, obok niej: Maria Gołębiewska, autorka wspomnienia – Maria Jodłowska, Janina Podolska.

Wspominając osobę prof. Heleny Solowiej należy podkreślić, że działalność jej nie ograniczała się jedynie do szkoły. Należała bowiem do Stronnictwa Demokratycznego, gdzie wykazywała dużo energii zakładając sekcję kobiecą, która przyciągała wiele kobiet do pracy społecznej, jak również organizowała bardzo ciepłe spotkania i zebrania wszystkich członków Stronnictwa.

Helena Solowiej, człowiek życzliwy, pełen entuzjazmu i potrzebny otoczeniu pozostanie długo w pamięci tych, co ją znali, podziwiali i cenili.

Niestety, przyszła ciężka choroba – nieuleczalna, która przecięła nić życia w roku 1959.

(-) *Spisała*
Maria Jodłowska

[Od red.]

Zmarła w ub. roku Maria Jodłowska była także zasłużoną pionierką Zielonej Góry. Jej wspomnienie opublikowaliśmy w pierwszym numerze „Pionierów”.



Początki polskich przedszkoli w Zielonej Górze

Po odzyskaniu świadectwa ukończenia szkoły podstawowej w 1947 r. napisałam podanie o przyjęcie mnie do Szkoły dla Wychowawczyń Przedszkoli w Sulechowie. Miałam wtedy 15 lat. Bardzo chciałam pracować z dziećmi w wieku przedszkolnym. Zostałam przyjęta do klasy pierwszej. Przyznano mi także miejsce w internacie. Trafiłam do największej sali. Spałyśmy na żelaznych, piętrowych łóżkach z siennikami. Pościel miałyśmy swoją z domu. Warunki higieniczne, szczególnie w pierwszym roku, były krytyczne. Gryzły nas pluskwy. Polepszyły się po przeprowadzeniu się do innego budynku. Tam, gdzie nie było piętrowych łóżek, nie było też robactwa. Internat był zapelniony dziewczętami, bo to była szkoła żeńska. Porządek w internacie utrzymywałyśmy same – były dyżury. Nie tylko sprzątałyśmy swoje pokoje, ale również korytarze i inne pomieszczenia. Były całonocne dyżury w kuchni. W dużym ogrodzie rosły kwiaty i warzywa, dbanie o nie też było w zakresie naszych obowiązków. Nauki było sporo. W pierwszym roku nauki chodziłyśmy czwórkami do kościoła i miałyśmy naukę religii w szkole. Z czasem powiedziano nam, że do kościoła mamy chodzić samodzielnie, ale tak się zawsze składało, że kiedy była msza święta, były organizowane zajęcia lub jakieś zbiórki. W ostatnim roku nauki trudno było o zezwolenie na pójście do kościoła. Nosiłyśmy granatowe mundurki szkolne. Obowiązkowe były granatowe czapki z daszkiem z białym napisem „LP”. Nauczyciele byli wymagający i konsekwentni. Nie obeszło się bez różnych sztuczek tak w stosunku do nauczycieli, jak również młodzieży. Włączane byłyśmy aktywnie do społeczeństwa – brałyśmy udział w akademiach, nawiązywałyśmy kontakty z innymi szkołami. Niezbyt często, ale wyjeżdżałyśmy na wycieczki do innych miast. Szkołę naszą odwiedzali pisarze, poeci. Dobrze zorganizowany był chór, do którego należały wszystkie klasy, ale wybrani byli ci, co mieli dobry słuch. Przez cały czas pobytu w szkole śpiewałam w chorze. Jedną z pań zajmowała się tańcami ludowymi. Miałyśmy odpowiednie stroje, a dekoracje robiłyśmy pod kierownictwem opiekunki. Krytycznym dniem był dzień, w którym obowiązkowo trzeba było się wpisać do ZMP. Nie wszyscy na to wyrażali zgodę. Były z tymi osobami osobiste rozmowy, bo wszyscy obowiązkowo musieli się wpisać na listę i odebrać legitymacje, które wymieniano na partyjne, gdy się szło do pracy.

W maju 1950 roku rozpoczął się egzamin dojrzałości – matura. Było to wielkie przeżycie, emocje nie do opisanie. Otrzymane świadectwo dojrzałości było wielką radością. Było się już prawdziwym, wolnym człowiekiem – wyglą-

dało tak, jakby osiągnęło się już wszystko. Po wakacjach, które spędziłam m.in. pracując na kolonii w Jeleniej Górze, trzeba było zgłosić się do Wydziału Oświaty z dyplomem, mianowaniem i innymi niezbędnymi dokumentami. Po otrzymaniu nakazu pracy na trzy lata, trafiłam do miejscowości Nietków.

Nikogo tam nie znałam. Po wejściu do pomieszczeń przeznaczonych na przedszkole zrozumiałam, że czeka mnie trudna, mozolna praca. Byłam przerażona. Przedszkole mieściło się w budynku, w którym był również sklep. Podwórko było malutkie. W sali stał stół ze zwykłych, surowych, nie heblowanych desek i takie same ławki. Na miski do mycia była przeznaczona ława z wydrążonymi otworami. O pomocach i zabawkach nie było co marzyć. Kuchnia mieściła się na piętrze, wyposażona bardzo skromnie. Nie było co się zastanawiać, tylko należało zebrać rodziców mających dzieci w wieku przedszkolnym. Zebranie odbyło się w świetlicy gromadzkiej. Przyszło dużo ludzi. Moich słów słuchali uważnie. Czułam, że wszyscy na mnie patrzą. Bardzo mnie to krępowało, ale musiałam nabrać odwagi i powagi. Podałam termin przyjęcia dzieci do przedszkola. Chętnych było dużo. Jak się okazało, dość długo czekali na kogoś, kto by podjął pracę z dziećmi. Przyjęłam wszystkie zgłoszone dzieci, bo innego wyjścia nie miałam. Było ich ponad pięćdziesięcioro. Przy pomocy rodziców zgromadziłam trochę papieru, brystolu, łączyłam kredki, pędzle, farby. Na strychu znalazłam rolkę kolorowej taśmy. Miałam już z czego zrobić dzieciom opaski na głowy jako akcesoria do zabaw. Z trwogą myślałam, co będzie dalej. W umówionym dniu przyszły dzieci. Były onieśmiałe, ale nikt nie uciekał, nie krzyczał, niektóre płakały, ale uważałam, że jest to normalne. Starłam się być opanowana, wyrozumiała, serdeczna. Chciałam być nie tylko wychowawczynią, ale także przyjacielem i doradcą. Jak się okazało, dzieci chętnie uczęszczały do przedszkola. W krótkim czasie zrobiłam zebranie rodziców – tym razem już w przedszkolu. Mile byłam zaskoczona okazaną chęcią pomocy ze strony rodziców dzieci. Jednak nie wszyscy byli słowni. Chętni i wytrwali współpracowali ze mną i pomagali robić pomoce czy stroje na pierwsze występy. Dostrzegłam, że wszyscy byli zadowoleni, jak było coś zrobione. Ogólnie współpraca układała się dobrze. Od rodziców dzieci wyszła propozycja zorganizowania zabawy dochodowej. Bałam się tego, bo jak się dowiedziałam, zabawy w Nietkowie były zawieszane ze względu na bójki. Były trudności z załatwieniem pozwolenia. Wspólnie z delegacją rodziców udaliśmy się na milicję z prośbą o wydanie zezwolenia. Musiałam korzystać z przedszkolnej pieczętki. Sprawę załatwiliśmy pozytywnie. Nikt nie żałował wkładu pracy ani też przydatnych produktów żywnościowych czy też materiałów do dekoracji. Afisze zachęcały i nęciły. Przyszło sporo chętnych. Była orkiestra. Milicja czuwała. Obeszło się bez bójki. Rozbawieni goście nie żalowali pieniędzy na najmniejszy drobiazg. Dochód z zabawy był wspaniały, pokryliśmy koszty i jeszcze została spora suma. Było to kwota do naszej dyspozycji. Kupiliśmy, co było najpotrzebniejsze. To była radość, a jednocześnie zachęta do dalszej pracy. Takiej zabawy w najbliższym

czasie nie mogliśmy zrobić, bo inne organizacje też chciały korzystać z tego przywileju.

Uroczystości przedszkolne robiliśmy w parku i świetlicy gromadzkiej. Były wiersze, piosenki, tańce. Imprezy przyciągały rodziców dzieci i innych mieszkańców Nietkowa. Sala była wypełniona po brzegi, jak również cały park pełen był widzów. Dzieciom do tańca przegrywał mój sześćioletni brat, który grał pięknie na harmonii. Chwile te pozostały w pamięci wielu ludzi. Kiedy nawiązałam kontakt z młodzieżą, łączone występy były jeszcze bardziej zachęcające. Organizowałam je i jednocześnie brałam w nich udział, to pomagało mi zacieśnić kontakty z ludźmi.



Autorka wspomnień (po środku) z przedszkolakami z Nietkowa – 1950 r.

Poczyniłam starania o nowy budynek dla przedszkola, który już dawno upatrzyłam, ponieważ był wolny. Darzono mnie zaufaniem, więc wykorzystywałam je do zdobycia tego budynku. Przyznano mi go, ale miałam kłopot, ponieważ w gminie powiedziano, że pieniędzy na remont nie dostanę, dopóki nie przedłożę rachunków za zakupiony materiał. Przy pomocy rodziców znalazłam ekipę do remontu budynku. Ekipie trzeba było dać pieniądze, a tych nie miałam. Udałam się do ludzi z prośbą o pożyczanie mi pieniędzy. Każdy pożyczał, ile mógł. Zapisywałam skrzętnie, ile będę musiała oddać. Uzbieraną sumę przekazałam ekipie remontowej. Lecz rozpacz mnie ogarnęła, gdy w umówionym czasie nie przyszli. Myślałam z przerażeniem, że to już koniec ze mną. Kiedy straciłam nadzieję, ekipa zjawiła się wraz z materiałem. Radość była wielka, wszyscy odetchnęliśmy z ulgą. Otrzymane pieniądze z gminy oddałam według listy. Każdy mówił, że miałam szczęście, ponieważ robotnicy mogli wziąć pieniądze i się więcej nie pokazać. Zrozumiałam, że zbyt mocno ryzykowałam, ale też nabrałam pewności, że mogę wiele zrobić, bo mam zaufanie. Po remoncie przedszkole składało się z jednej dużej sali, która powstała przez rozebranie ścianek działowych. Była kuchnia, umywalnia, szatnia, magazyn. Ubikację zrobiliśmy w piwnicy – to już był luksus. Brakowało tylko mebli. Starych desek z poprzedniego przedszkola nie chciałam brać. W Wydziale Oświaty powiedzieli, że mebli nie dostaniemy. Znowu rozpacz, myślałam dzień i noc, co to będzie. Przypomniałam sobie, że miało być zamknięte jakieś przedszkole. To mnie uratowało. Starania o meble znowu nastręczyły problemów. Oświa-

ta nie chciała wyrazić na to zgody. Zdobyłam te meble uporem i stanowczością. Postarałam się o samochód skrzyniowy z jednostki wojskowej w Czerwieńsku. Po te meble jechaliśmy do Zawady. Dużo nie brakowało, a wrócilibyśmy bez nich. Nikt tu nie uprzedził, że przyjedziemy po meble. Miałam znowu przeboje. Ale, że pojechałam osobiście, dałam sobie z problemami radę. Szczęśliwie mebelki dojechały do Nietkowa. Był to rok 1953. W budynku były jeszcze usterki, m. in.: brakowało okien w piwnicy i na strychu, ale już dłużej nie zwlekałam i zrobiliśmy uroczyste otwarcie przedszkola. Wszyscy odświętnie ubrani, była wstęga i nożyce. Weszliśmy jak do pałacu. Mnóstwo kwiatów pożyczył nam kierownik, a niektóre podarował. Firank nie było, ale były falbanky w pastelowych kolorach. Było skromnie, ale miło i uroczyste. W dalszym ciągu pracowałyśmy we dwie z kucharką. Dysponowałam kluczem do magazynu i wydawałam kucharkę, co trzeba. Czasem słyszałam docinki, że smarkata tak się rządzi. Księgi prowadziłam na bieżąco. Pracy było coraz więcej. Mnie brakowało dnia.

Prócz pracy zawodowej, pracowałam społecznie. Brałam udział w działalności Ligi Kobiet, aktywnie uczestniczyłam w akcji spisu ludności, w zebraniach gromadzkich, wyjeżdżałam na zebrania do powiatu. W roku 1952 zaangażowano nas do spisu mieszkańców, którzy mieli ziemię – więcej lub mniej. Ziemia była zabierana ludziom do PGR-u. Żał mi było tych ludzi, bo zdążyłam ich poznać, zaprzyjaźnić się z nimi. Widziałam, z jakim zapalem, uczciwością, rzetelnością, radością pracowali na tej ziemi. Nie żalowali trudu, czasu. Efekty mieli wspaniałe. Chętnie pracowali dla siebie i innych. Ci ludzie byli szczerzy, potrafili pomóc potrzebującym. Dzięki nim nie miałam problemu ze zdobyciem warzyw i owoców dla przedszkola. Dzieliли się wszystkim. Odbieranie tym ludziom ziemi było wielką krzywdą dla nich. Zapanował smutek, przygnębienie. Gospodarze bronili się słowem i łzami. Dochodziło nawet do bójek. Szły w obroty widły, grabie, łopaty, miotły. Jednak nie nic pomogło. Kto nie podpisał, to i tak został pozbawiony ziemi. Zorganizowano wspólną gospodarkę. Udręczeni, pozbawieni godności ludzie ze smutkiem pracowali na życie. Organizacyjnie w tym gospodarstwie wspólnym było różnie. Jesienią 1953 roku ziemniaki nie zostały wykopane



Budynek zdobyty na przedszkole w Nietkowie. Zostawiłam go odremontowany zmodernizowany i ogrodzony.

w porę i zastał je w polu mróz. Żeby te plony wydobyć z ziemi, znów nas zorganizowano (nauczycieli, mnie oraz pracowników nadleśnictwa i gminy). Dostaliśmy polecenie, aby zobowiązać ludzi przez podpisanie listy do zbiorowego wykopywania z twardej ziemi ziemniaków. Proponowana tu była głównie niedziela. Szło się do ludzi, którym rok wcześniej wydzierano na siłę tę ziemię, którą pielęgnowali, jak skarb zbierając plony w porę, aby pola zostawały przygotowane do odpoczynku zimowego. Bardzo to wszystko było przygnębiające. Ja do dziś żałuję moich butów, które niszczyłam chodząc po wsi nawet w najdalsze zakamarki, nie mówiąc już o ludziach.

Angażując się do współpracy z otoczeniem, nie zaniedbywałam pracy dydaktyczno-wychowawczej. Realizowałam solidnie „Program Wychowania Przedszkolnego”. Uczestniczyłam w konferencjach metodycznych. Tam też byłam angażowana do pisania referatów, protokołów, przygotowań do dyskusji.

Opracowałam program taneczny, który przedstawiliśmy na młodzieżowych eliminacjach powiatowych i artystycznych. Zdobyliśmy drugie miejsce. Nagrodą była znaczna suma pieniężna, którą przeznaczaliśmy na zakup koralików i strojów. Już nie musieliśmy pożyczać strojów z jednostki wojskowej w Czerwieńsku. Pracowałam z dala od domu. W tym środowisku byłam nowa, młoda, każdy mój krok był oceniany. Mobilizowało mnie to do samodyscypliny. Czasu dla siebie nie miałam. Czasem poszło się do przyjeźdnego kina, ale rzadko.

W czerwcu 1954 odeszłam z Nietkowa, skończył mi się bowiem nakaz pracy. Proponowano mi pozostanie, ale z tego

nie skorzystałam. Po latach odwiedziłam Nietków i zauważyłam wiele zmian. Przybyło dużo domów, jest świetlica, kawiarnia, przebudowany sklep, odnowiona szkoła, odnowiony kościół. Stare budynki są zmodernizowane. Korony drzew tworzące kiedyś „żywy” tunel wzdłuż głównej drogi, są krótko przycięte. Kiedyś pełen zieleni park jest zupełnie zaniedbany. Pomimo modernizacji odniosłam wrażenie, że jest tam smutno. Pełna zapału do pracy nie widziałam niczego brzydkiego, takiej pustki, jak dziś tam jest, nie byłam w stanie sobie nawet wyobrazić. Pamiętam, że było dużo zieleni, dużo rozbawionej, wesołej, rozśpiewanej młodzieży. Nawet na trudnym odcinku pracy znalazłam barwę życia. Niepowodzenia szły w cień, gdy zabrzmiał dźwięk harmonii czy też wesoły śpiew młodzieży. Po moim odejściu ucichły śpiewy, gwary, wspólne spotkania. Część artystyczna zamarła.

Zofia Malinowska

Po 9-letniej przerwie p. Zofia Malinowska powróciła do pracy w zielonogórskich przedszkolach (nr 3, 9, 1). W pracy z dziećmi odniosła wiele sukcesów, uhonorowanych licznymi nagrodami (m. in. z Polskiego Radia, od prof. Wiktora Zina i in.), choć nie zawsze znajdowała uznanie i zrozumienie bezpośrednich przełożonych. Od 1991 r. pozostaje na emeryturze. Z wieloma swoimi wychowankami utrzymuje kontakty do dzisiaj.

Pionierska placówka PCK w Zielonej Górze

13 czerwca 1945 oddział PCK w Lesznie delegował pięciu swoich pracowników w celu zorganizowania podobnej placówki w Zielonej Górze. Otrzymali oni skierowania napisane w języku polskim i rosyjskim. Były one potwierdzone przez pełnomocnika PCK w Poznaniu na oddział w Lesznie, wojennego komendanta miasta Wosniała oraz komendanta MO, chorążego Stanisława Siepsiaka. W skład grupy wchodziły: przełożona, pani Maria Krusiowa, pani Maria Dzidkowa, sanitariuszki Barbara Koszczyńska i Bronisława Talaga-Luboch (Talażanka) oraz pomoc kuchenna, pani Anna Ren. Początki działalności zielonogórskiej placówki PCK wspomina pionierka Bronisława Luboch.

* * *

Do Zielonej Góry dotarliśmy pociągiem przez Wolsztyn. Nie byliśmy same, gdyż spotkałyśmy kilku panów

– Mariana Nawrockiego (potem pracownika Zakładów Graficznych), Zdzicha Ratajczaka (zaczynał pracę w Monopolu Tytoniowym), Leona Żarnowskiego oraz mistrza malarskiego Kubiaka. O godzinie dwudziestej drugiej wysiedliśmy na zielonogórskim dworcu, gdzie na naszą grupę czekali przedstawiciele miasta (nie pamiętam już, kto to był, być może wraz z innymi witał nas introligator, pan Szymaniak). Był ciepły, spokojny wieczór, tylko przed komendanturą radziecką, która mieściła się w gmachu dzisiejszego Muzeum, stała straż wojskowa. W krótkim czasie dotarliśmy do restauracji „Centralna” prowadzonej przez pana Idziaka. W niej, serdecznie przyjęte przez właściciela, spędziłyśmy noc na zastawionych kanapach.

Ranek 14 czerwca przywitał nas słońcem i zielenią, a także łoskotem butów oraz gromkim śpiewem kompanii wojskowej. Same przystojniaki – Wańki, Grisi, Antony.

Aby zgłosić nasze przybycie, udałyśmy się z przełożoną do biura pełnomocnika. Mieściło się ono na rogu placu Pocztowego i ulicy Szerokiej. Na parterze, po lewej stronie w pokoju numer 3 za starym biurkiem zastałyśmy pełnomocnika Jana Klementowskiego. Przyjął nas przychylnie i z szacunkiem, był zadowolony z powstania w mieście placówki PCK. Przydzielono nam budynek po byłej Landschule (Szkole Rolniczej) położony na rogu ulicy Wyspiańskiego i alei Stalina (obecnie aleja Niepodległości, do niedawna w budynku tym zlokalizowany był ADM nr 3) oraz gmach znajdujący się w sąsiedztwie, w którym obecnie mieści się Pogotowie Ratunkowe. Oba budynki zostały oznakowane flagami PCK. Taka flaga, wraz z adresem naszej placówki, znalazła się także na stacji PKP.

Zielonogórska placówka PCK była bardziej humanitarna niż sanitarna. Od razu przystąpiłyśmy do jej urządzenia. Zaczęłyśmy od rzeczy najważniejszych, czyli ambulatorium i sal noclegowych. Nie miałyśmy nic, więc musiałyśmy zebrać potrzebny sprzęt. Do wieczora udało nam się zwieźć dwukołowym wózkiem łóżka, skompletować pościel i udośćnić salę noclegową męską.

Pracowały z nami dwie Niemki przydzielone do pomocy. Trochę trudniej było o łóżeczka dla maluchów i ich mam, ale już po kilku dniach, między innymi dzięki pozytywnemu nastawieniu władz miasta, udało nam się i tę trudność pokonać. Bardzo potrzebna izba chorych została urządzona na piętrze w budynku Matki i Dziecka. Pierwszym pacjentem był dziewięcioletni Henio, którego potrafił wóz konny. Początkowo nie było stałego lekarza, lecz wkrótce zjawił się i zamieszkał w naszej placówce doktor Władysław Struszyński, pierwszy lekarz powiatowy, a krótko potem doktor Krajewski. Bardzo pomocny był nam doktor Józef Bienia (pierwszy lekarz przychodni PKP), ginekolog mieszkający niedaleko przy ulicy Widok-Chopina. Już w lipcu był wzywany do naszej placówki, ponieważ rodzinie, która przyjechała z Warszawy, urodził się drugi syn (państwo ci mieli zakład fotograficzny przy ulicy Pionierskiej – dziś Kupiecka). Zawsze też mogliśmy liczyć na pomoc doktora Fischera, pracownika kliniki doktora Bruksa mieszczącej się przy alei Stalina oraz aptekarza polskiego pochodzenia Józefa Boruckiego. W potrzebie nigdy nam nie odmówili. Wkrótce dojechali lekarze – państwo Wanda i Tadeusz Serafiński oraz felczer Bronikowski.

Mieliśmy sporo pracy. Codziennie trzeba było zmieniać pościel w salach noclegowych, ponieważ napływa-

jący osadnicy spędzali u nas noc i już od rana szukali własnego lokum. Wśród nich byli m. in. panowie Katarasowie, starszy i młodszy, pan Kazimierz Malicki, państwo Iwańscy. Przybywało coraz więcej transportów z repatriantami ze Wschodu. W jednym z nich znalazły się sieroty, którymi zaopiekowała się nasza placówka. Czwooro dzieci (rodzeństwo i dwaj chłopcy) pozostało u nas czekając na miejsce w sierocińcu. Staraliśmy się stworzyć przybyszom odpowiednie warunki, choć nie było to łatwe. Przydziały chleba i wojskowej kawy były skąpe, a obiady przygotowywało się i wydawało jednodaniowe.

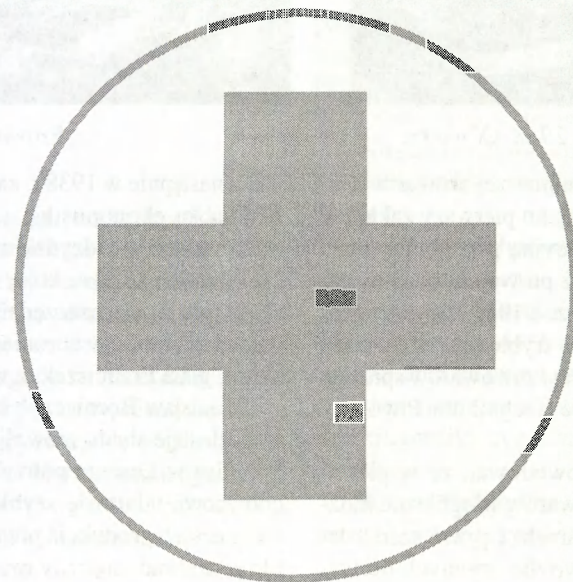
Administrację prowadził pan Józwiak, małą księgowością zajmowała się pani Forellowa. Mieszkali oni na pobliskiej ulicy Kazimierza Wielkiego 18. Dołączyły do nas jeszcze dwie panie przybyłe z Wileńszczyzny, sanitariuszka Zinaida i pomoc kuchenna, Paulina. W pralni pracowały Niemki. O zapłacie nikt nie wspominał, cieszyliśmy się każdym nowym dniem. Nie zabrakło i rozrywek. W jedną z sobót odbył się skromny wieczorek taneczny. Bawiliśmy się przy melodiach walca płynących wprost z drewnianej deski głośnia umieszczonego wysoko między

oknami. Wodzirejami byli Zdzich Ratajczak, Józio Górecki i Marian Nawrocki. Chodziliśmy też do kina, którym kierował pan Patecki. Można było obejrzeć radziecką kronikę wojenną i znany film „Świniarka i pastuch”. Było wesoło, w wyborowym towarzystwie, które tworzyli lekarze, pielęgniarki, sanitariuszki, kucharki i nowi obywatele Zielonej Góry, miło spędzaliśmy czas.

Powoli dobiegała końca moja misja w zielonogórskiej placówce PCK. Od 1 sierpnia wraz z Basią Koszczyńską zostałam przeniesiona do Leszna. W ostatnią niedzielę lipca uczestniczyłyśmy we mszy świętej w kościele świętej Jadwigi. Odprawiał ją w języku łacińskim Georg Gottwald (pozostał do lutego 1946 r.) Z ogromnym wzruszeniem wysłuchaliśmy Ewangelii odczytanej przez burmistrza Tomasza Sobkowiaka.

Nie rozstałam się z Zieloną Górą na długo. Po usilnych namowach doktora Władysława Pręgowskiego zdecydowałam się wrócić. Dostałam skierowanie do pracy na okres dwóch lat i 25 września przyjechałam ponownie do Winnego Grodu. Byłam piątą polską siostrą w Szpitalu Miejskim przy alei Stalina. Pracowały już tam: położna Wiktoria Kozłowska, operacyjna Stefania Lubińska oraz pielęgniarki Janina Oskierko i Maria Buderowa.

Bronisława Luboch



Pionierzy browaru w Zielonej Górze

(1945-1948)



Browar – widok z przodu, lata 20-te XX wieku.



Browar – lata 30-te.

Jak wspomniano już w poprzednim numerze, browar w Zielonej Górze po II wojnie światowej jako pierwszy zakład w mieście rozpoczął działalność produkcyjną pod koniec maja 1945 r. W przemyśle piwowarskim tuż po wojnie odczuwano niedobór fachowych kadr. W Polsce przed 1939 r. wykształcenie zawodowe piwowarzy zdobywali w trybie przewidzianym dla rzemiosła, a niejednokrotnie majstrów piwowarów sprowadzano z zagranicy. Pierwsze w Polsce Technikum Piwowarskie powstało w Zabrzu w 1948 r.

Niedobór kadr produkcyjnych spowodował, że w pierwszych latach po wojnie niektórych browarów w ogóle nie można było uruchomić (np. browaru z Żarach) i przez szereg lat służyły one jako zaplecze magazynowe dla czynnych browarów lub jako rozlewnie piwa i wytwórnie wód gazowanych.

Browar Zielona Góra mógł uruchomić produkcję tak szybko między innymi dlatego, że już około 10 maja 1945 r. z Leszna Wlkp. przybył doświadczony piwowar-słodownik Bronisław Borowczyk. Otrzymał on przepustkę wydaną przez leszczyńskie starostwo 7 maja 1945 roku, upoważniającą go do zorganizowania „browarów zachodnich”.

Bronisław Borowczyk urodził się 18.12.1913 roku w oddalonym o niecałe 100 km od Zielonej Góry wielkopolskim Połcu jako czwarty syn Józefy i Piotra Borowczyków.

Tuż po I wojnie światowej p. Borowczykowie przenieśli się do miasteczka Rydzyna k. Leszna, gdzie w rynku kupili dom położony 300 m od słynnego zamku Sułkowskich. Na piętrze zamieszkali, a na parterze prowadzili restaurację. Wszyscy pracowali intensywnie, gdyż Borowczyków zawsze charakteryzowały przedsiębiorczość i pracowitość.

Gdy w 1933 r. zmarł ojciec rodziny, dzielna pani Józefa nadal prowadziła restaurację z najmłodszym synem i małą córką, gdyż czwórka starszych synów już poszła na swoje. Piotr został rzeźnikiem i osiągnął znaczne sukcesy zawodowo-materialne w Katowicach, dwaj następni otworzyli własne zakłady w Rydzynie, Franciszek piekarnię, a Edward stolarnię.

Bronisław już w wieku 17 lat rozpoczął pracę w odległym o 9 km Lesznie Wlkp. w browarze Schneidera, u którego jego ojciec zaopatrywał się w piwo. Kiedy w 1933 roku zdał egzamin na piwowara-słodownika, nadal pracował w browarze w Lesznie, gdzie produkowano piwa „Jasne”, „Salwador” i „Marcowe”.

W latach trzydziestych odbywa zasadniczą służbę wojsko-

wą, a następnie w 1938 r. zawiera związek małżeński z Cecylią Kolibabką, ekonomistką, córką etatowego ogrodnika Fundacji Sułkowskich w radzyńskim zamku.

Wrzesień 1939 r., który ściągnął nieszczęście na wiele polskich rodzin, nie oszczędził też Borowczyków. W pierwszych dniach września, w obronie Radzyna przed wojskami hitlerowskimi, ginie Franciszek, a w parę lat później Ludwik.

Bronisław Borowczyk bierze udział w kampanii wrześniowej i dostaje się do niewoli niemieckiej, gdzie przebywa krótko, gdyż w Lesznie potrzebowano piwowara i jemu, jako fachowcowi, udało się szybko powrócić. Po wkroczeniu wojsk niemieckich produkcja piwa wzrosła sześciokrotnie, co pozwoliło przetrwać mroczny czas okupacji.

Po okupacji niemieckiej p. Józefa Borowczykowa z córką Moniką nadal prowadziła swoją restaurację, lecz z czasem przejęła ją Gminna Spółdzielnia, a panie miały z tym wiele znanych kłopotów.

Po wojnie Bronisław Borowczyk otrzymał propozycję uruchomienia browaru na Ziemiach Odzyskanych. Uznał to za swoją szansę życiową, od lat marzył o własnym browarze i posiadał pewne środki przeznaczone na ten cel. Pochodził z zamożnej rodziny, a i jego osobiste dochody były też spore. Przed wojną piwowarzy byli bardzo dobrze opłacani, miesięczne uposażenie, w zależności od wielkości oraz kondycji browaru i klasy fachowca, wynosiło od 200 do 500 złotych, wówczas, gdy czteroosobowa rodzina mogła się utrzymać nawet za 100 zł.

Z Bronisławem na Zachód zabrał się starszy brat Edward, któremu marzyła się stolarnia w dużym mieście, a nie kilkutyśnej Rydzynie. Do Zielonej Góry bracia przybyli około 10 maja 1945 roku. Po zameldowaniu się w sowieckiej wojskowej komendanturze i u pełnomocnika KERM-u inż. K. Paszyńskiego zakwaterowali się przy ul. Niederstrasse 10, a następnie udali się szukać swoich przyszłych miejsc pracy. Edward znalazł je szybko przy tej samej ulicy pod numerem 65 i 66 (niemiecką nazwę ulicy przemianowano potem na Pionierską, następnie Świerczewskiego, a obecnie jest to ulica Kupiecka), gdzie pracował kilka lat, dopóki nie zgasło zielone światło dla rzemiosła, a mieszkał tam do 1986 r. Oboje z żoną Elżbietą są pochowani na zielonogórskim cmentarzu, siódemka ich dzieci mieszka w Zielonej Górze, a w mieszkaniu przy ul. Kupieckiej Edward-junior.

Bronisław udał się na ul. Freystadter 56, obecnie ul. Kożuchowska 8, gdzie mieścił się przedwojenny browar. Został zakład bez załogi, nieczynny, ale nie zdewastowany. Na oddziałach produkcyjnych brak było pasów transmisyjnych i innych mniejszych urządzeń. Nie było wcale środków transportu, tj. samochodów, przyczep, a nawet w stajniach koni. W garażu stał tylko stary, unieruchomiony samochód skrzyniowy Bedford. B. Borowczyk pochodził z Wielkopolski, jego szefem w Lesznie był Niemiec, znał więc doskonale język niemiecki i stosunki panujące na pograniczu. Łatwo porozumiał się ze starymi Niemcami, pracownikami browaru, którzy nie mieli sił lub chęci, aby uciekać i pozostali w Zielonej Górze. Nie nadawali się już do kopalń syberyjskich i od lutego wegetowali. Po przełamaniu pierwszej niechęci, w nadziei na pracę wyrazili chęć współpracy. Okazało się, że jest słód, chmiel, a nawet w kufkach stare piwo. Oto nazwiska niektórych:

- **Berthold**, brygadzysta fermentowni, mieszkał w domku przy ulicy Freystadter,

- **Lange**, robotnik warzelany,

- **Kaube**, rymarz,

- **Miller**, mechanik samochodowy. Byli też bednarz i robotnik butelkowni, których nazwiska zataryły się w pamięci.

W powyższej sytuacji B. Borowczyk ocenił, że po koniecznym uzupełnieniu braków może browar uruchomić. Napotkał jednak przeszkodę, wydawało się nie do pokonania. Sowietkie władze wojskowe nie wyrażały zgody na przekazanie browaru pod polskie kierownictwo. Odmawiano przez parę dni i sprawa wyglądała na beznadziejną, gdy niespodziewanie obietnica, że mógłby dostarczyć za miesiąc piwa „skolko ugodno”, natychmiast zmieniła sytuację. W dniu 17 maja 1945 roku otrzymał nominację na kierownika browaru (z numerem porządkowym 1). Nominacja została powtórzona dosłownie również w wersji rosyjskiej, sądząc po podpisie, wypełniał ją sam Kazimierz Paszyński. Były to druki oryginalne, w nagłówku wersji rosyjskiej występuje „Polska Respublika”. Po otrzymaniu nominacji Bronisław Borowczyk postanowił związać swoje życie z Zieloną Górą, ściągając z Leszna żonę i dzieci. Miał nadzieję, że weźmie browar w dzierżawę, a po odpowiednich spłatach na własność. Nazwał browar Browarem Zamkowym i rozpoczął energiczne działania. Zatrudnił Niemców, byłych pracowników browaru, a w miarę przybywania Polaków stawiał ich obok Niemców, aby uczyli się zawodu. Niemcy niechętnie zdradzali tajniki swojej wiedzy, ale Polacy podpatrywali i radzili sobie coraz lepiej. Ogólne zatrudnienie w browarze w maju 1945 r. wynosiło 12 osób.

Starania przyniosły sukces, pod koniec maja 1945 roku było pierwsze piwo. Niecierpliwe żądania potencjalnych klientów, szczególnie tych z Czerwonej Armii, były ogromne. Trzeba było zmieszać młode piwo ze starym i przeznaczyć do konsumpcji. Jako dobry fachowiec B. Borowczyk wybrał z sytuacji i uzyskał ogromne uznanie za wywiązanie się z przyrzeczenia przed terminem. Myślał jednak o produkcji piwa przedniej jakości i szerszym asortymencie, przystąpił do ściągnięcia fachowców i rodziny.

5 czerwca 1945 roku przyjechała do Zielonej Góry na stałe żona Cecylia z dwójkiem małych dzieci, Marią i Tadeuszem.

Następnego dnia, 6 czerwca, burmistrz T. Sobkowiak (również z Leszna) na Ratuszu przejmował administrację miasta, a na szczycie Ratusza wywieszono biało-czerwoną flagę. Z prowadzonej wówczas „Kroniki” dowiadujemy się, że tego samego dnia „W związku z otwarciem browaru na terenie Zielonej

Góry, został wydany bankiet przez ob. Borowczyka, kierownika browaru. Zaproszeni zostali Pełnomocnik KERM inż. Paszyński, burmistrz miasta Sobkowiak oraz członkowie Grupy Operacyjnej. Przybyła także delegacja PUR z Konotopu. Przyjęcie miało miły charakter i było symbolem nowo tworzącego się życia gospodarczego w Zielonej Górze pod kierownictwem polskim”.

Rodzina Borowczyków zajęła mieszkanie na pierwszym piętrze frontowego budynku, gdzie obecnie mieszczą się biura Zakładów Piwowarskich.

- **Cecylia Borowczykowa** poprowadziła administrację browaru, a w późniejszym okresie kolejno rachubę i planowanie.

- **Mieczysław Tomecki** podjął pracę jako główny księgowy pod koniec lipca 1945 r. Mieszkał z żoną na mieście, dzieci nie mieli. Był zaangażowanym działaczem miejskiej i zakładowej PPS. Zmarł tragicznie podczas podróży służbowej na jesieni 1948 r. w pokoju hotelowym w Warszawie.

- **Kazimierz Sztor**, spokrewniony z burmistrzem T. Sobkowiakiem, podjął pracę jako zastępca głównego księgowego. Zamieszkał z żoną na parterze budynku frontowego. Bardzo towarzyski i uzdolniony artystycznie, był wykonawcą dekoracji, laurów i karykatur.

- **Edmund Marciniak**, przejmując obowiązki piwowara, wcześniej pracował w browarze w Lesznie Wlkp. Z żoną i dziećmi zajął dom na terenie browaru, od ul. Piwnej. Był kierownikiem browaru zielonogórskiego, a w połowie lat pięćdziesiątych kierownikiem browaru w Górze, gdzie zmarł i tam go pochowano.

- **Alfons Kolibabka**, brat Cecylii Borowczykowej, po powrocie z robót przymusowych, na początku sierpnia 1945 r., rozpoczyna pracę jako praktykant piwowarski. Rezygnuje z ukończenia rozpoczętego przed wojną Liceum Pedagogicznego w Krotoszynie, aby przekwalifikować się pod okiem szwagra na piwowara. Może zadecydowały o tym przekazy rodzinne mówiące, że brat babci, Kempa z leszczyńskiego, miał w XIX w. browar w samym Berlinie. Jak się okazało była to decyzja na całe życie. W 1948 r. otrzymuje nominację do browaru w Połczynie Zdroju. Jednak Zielona Góra przyciągała, w 1960 roku wraca na własną prośbę do browaru w Zielonej Górze, gdzie pracuje aż do emerytury w 1982 roku.

- **Bronisław Pralat**, krewny p. Marciniakowej, też z Leszna, rozpoczyna pracę w browarze w końcu sierpnia 1945 r. na obciążu beczkowym, tam pracuje aż do emerytury. Początkowo zamieszkał z rodziną przy ul. Strzeleckiej, a następnie na terenie browaru w nie istniejącym już domku po Bertholdzie (w przybliżeniu tam, gdzie obecnie jest przystanek autobusowy).

- W 1946 r. rozpoczął pracę w browarze jego syn **Stanisław**, początkowo w ochronie browaru, następnie jako praktykant piwowarski, a po ukończeniu pierwszego Technikum Piwowarskiego w Zabrzu, jako kierownik, a potem dyrektor browaru w Zielonej Górze i Bojanowie.

We wrześniu 1945 r. browar zatrudniał już około 50 osób. Produkcja stopniowo rosła, lecz produkowano tylko piwo „Jasne”. Były kłopoty ze wszystkim, brakowało słodu (słodownia od kilkunastu lat była nieczynna), chmielu, węgla. Pomimo to pracownicy byli bardzo zaangażowani. Po okropnościach wojny pragnęli stabilizacji. Starali się opanować zupełnie nowe umiejętności. Razem pracowali Niemcy, autochtoni i Polacy z różnych stron – Wielkopolski, Polski centralnej oraz repatriant-

ci z ziem wschodnich od Litwy po Rumunię, a czasami z zachodu Europy. Każdy miał swoje zwyczaje, słownictwo i wcale niełatwo powstawało z tej mieszaniny społeczeństwo zielonogórskie. To właśnie w tym okresie powstało ironiczne powiedzonko „towarzysze, obywatele i wy ludzie zza Buga”. Ponadto należy pamiętać, że w mieście nadal byli Niemcy, którzy utracili już swój prymat i żyli w obawie, co przyniesie następny dzień (w czerwcu była znaczna akcja przesiedleńcza, spodziewano się dalszych). Polacy, pomimo różnic, pracowali z entuzjazmem, widzieli dla siebie przyszłość w Zielonej Górze, tym bardziej, że życie się z dnia na dzień normalizowało.

Piwo butelkowe i wody mineralne w butelkach zamykanych na pałąki z uszczelką gumową rozwożono w skrzynkach drewnianych na platformach, a piwo beczkowe w beczkach dębowych umieszczonych na uchwytach pod platformami. Taką platformą, do której zaprzężona była para ciężkich koni, jeździł do odbiorców w mieście woźnica oraz inkasent. Natomiast w święta, z okazji uroczystości rodzinnych, takich jak śluby czy chrzciny, lekkie konie zaprzęgano do otwartego, czarnego, lakierowanego powozu-landa, zamykanego z boków drzwiczkami, z siedzeniami położonymi naprzeciw siebie i jechano do kościoła. Zarówno największą platformą jak i landem rządził – **Kazimierz Konieczny**, główny woźnica. Mieszkał na terenie browaru i biada temu, kto chciał być nowoczesny i na uroczystość wybrać samochód. Nas też 16 października 1948 r. zawiózł tym landem do kościoła św. Jadwigi, do ślubu.



Innymi pracownikami z tego okresu byli:

- **Edmund Szusterkiewicz**, przyjechał z Poznania w drugiej połowie września 1945 r. Jego żona Anna, była siostrą Cecylii Borowczykowej. Zamieszkali na terenie browaru, gdzie urodziły im się dwie córki, w 1946 r. – Łucja i 1948 r. – Helena. Pracował jako ekspedytor, następnie kierownik ekspedycji. Na początku lat pięćdziesiątych został kierownikiem rozlewni piwa w Świebodzinie, skąd wrócił do Poznania. W styczniu i lutym 1987 roku zostali pochowani z żoną na Junikowie.

- **Alfons Szusterkiewicz**, brat Edmunda, na jesieni 1945 r. rozpoczął pracę w księgowości. Potem pracował w „Domu Książki”.

- **Tomasz Murzyński**, był najważniejszą osobą na portierni przy głównej bramie. Nie pracował długo, miał kłopoty zdrowotne z oczami.

- **Korbacz**, mieszkał przy ul. Piwnej i pilnował browaru w nocy. Nosił na ramieniu, na pasku duży zegar, który musiał nakręcać o odpowiedniej godzinie, ale klucze do niego były rozmieszczone w różnych punktach browaru. W taki sposób kontrolowano jego pracę – nocny obchód browaru. Pracował też przy urządzeniach chłodniczych.

- **Ludwik Dratwiński**, wracając z Niemiec zamieszkał w Jędrzychowie i podjął pracę z Niemcem Lange na warzelni, jak się okazało na stałe, przepracował na warzelni do emerytury.

- **Kaczmarek**, pracownik gospodarczy i warzelni, najczęściej obsługiwał suszarkę do wysłodzin. Jak powstały PGR-y i Rolnicze Spółdzielnie Produkcyjne, to wysłodzin już nie suszono, mokre schodziły na bieżąco na paszę.

- **Antoni Zabłocki**, **Stanisław Adamski**, pracowali na słodowni.

- **Władysław Morda**, zajmował się rozładunkiem beczek, a **Stanisław Sobolewski** ich myciem.

- **Józef Koza**, ślusarz, pracował w chłodni, przy obsłudze agregatu wytwarzającego m.in. sztuczny lód, który sprzedawano odbiorcom z miasta.

- **Siostry Melita i Barbara Mielęgowskie**, autochtonki, pracowały na butelkowni, obie nie żyją, pochowane w Zielonej Górze.

- **Helena Witkowska**, pracowała w butelkowni.

- **Barbara Jobda**, brygadistka oddziału wód gazowanych.

- **Bogdanowicz**, pracował w kuźni.

- **Janaczewski**, pracownik warsztatu samochodowego.

- **Wiktor Sprysiak**, woźnica, rozwoził końmi piwo i wody gazowane do odbiorców w mieście.

- **Rozmiar**, inkasent, jeździł w teren z kierowcami samochodów ciężarowych, którymi rozwożono piwo.

- **Antoni Zamojski**, przepracował w browarze zielonogórskim od 1946 r. do emerytury. Początkowo jako praktykant biurowy, potem kierowca ciężkich samochodów, jeździł z piwem w najdalsze trasy. Mieszka w Zielonej Górze.

- **Stanisław Zajac**, pracownik transportu.

- **A. Buchcińska**, w dziale planowania.

- **E. Bronowicz i Irena Szmít**, w księgowości.

- **Antoni Zielony**, zamieszkały w Jędrzychowie, był pierwszym palaczem w kotłowni, wiele się natrudził, gdyż kotłownia była przystosowana do węgla kamiennego,

a w 1945 roku występowały ciągle braki tego opału, więc dodawał węgla brunatnego pochodzącego z kopalń nieopodal Zielonej Góry. Były też przypadki, że musiał palić szczapami. Wymagało to ogromnego samozaparcia i wysiłku, aby utrzymać w kotłowni odpowiednie parametry.

- **S. Kępski**, personalny, przez pewien okres był jednocześnie personalnym browaru i winiarni przy ul. Moniuszki.

- **B. Ruszkowski**, pracował w rachubie.

- **L. Jackowska i Z. Jagacik**, dział księgowości.

- **Aleksander Krzyż**, piwowar, pochodził z Wołynia, był dobrym fachowcem, znalazł wspólny język z piwowarami wielkopolskimi.

Wszyscy wyżej wymienieni są pionierami Zielonej Góry. To również oni, na pewno w bardzo różnym zakresie, przywrócili Zielonej Górze normalność miasta polskiego.

W 1946 r. zatrudnienie w browarze wynosiło około 70 osób, działały już związki zawodowe, starano się poprawić warunki socjalne załogi oraz mieszkaniowe, a wszyscy chętni otrzymali działki pracownicze.

Drugie półrocze 1945 r. przyniosło Bronisławowi Borowczykowi rozczarowanie. Niestety, zamiast dzierżawy otrzymał z dniem 6 sierpnia 1945 r. nominację na stanowisko dyrektora browarów w Zielonej Górze (drugi malutki browar przy ul. Pionierskiej, obok stolarni brata Edwarda i trzeci, jeszcze mniejszy, na wsi). W świetle dokumentów błędne są informacje podane w kilku publikacjach, że Browar Zamkowy w Zielonej Górze uruchomiono po wojnie jako zakład prywatny, a w 1946 r. został upaństwowiony. Spowodował to być może fakt, że B. Borowczyk, licząc na to, że w przyszłości stanie się jego właścicielem, w pierwszych miesiącach swojej działalności z własnych funduszy doposażył browar w środki transportowe: konie z uprzężą, 2 nowe platformy 3-tonowe, samochód ciężarowy i samochód osobowy. Po otrzymaniu nominacji na dyrektora, wystąpił 29.10.1945 r. o zwrot poniesionych kosztów. Decyzją z dn. 29.04.1946 r. otrzymał od Zjednoczenia Piwowarsko-Słodowniczego zwrot kapitału w wysokości 415 tys. złotych.

Szły inne czasy, Polska nie miała być suwerenną III Rzeczpospolitą, lecz Polską Ludową, następowała nacjonalizacja przemysłu, a nie jego prywatyzacja. B. Borowczyk szybko to zrozumiał, a że był realistą, zarzucił marzenia o własnym browarze. Gdy trafiła się korzystna transakcja, ulokował swoje fundusze w uszkodzony przez bombę dom w Poznaniu i zlecił jego odbudowę. Niestety, to też nie dało pełnej własności, dom objęto kwaterunkiem, właścicielom ograniczono powierzchnię mieszkalną, a Cecylia Borowczykowa była tylko urzędnikiem-administratorem we własnym domu. Takie były realia socjalistycznego 45-cio lecia.

Natomiast w browarze w Zielonej Górze B. Borowczyk był po prostu dobrym fachowcem i dyrektorem, pod jego kierownictwem następował ciągły rozwój browaru. W 1945 r. wyprodukowano 4.000 hl piwa „Jasne”, natomiast w 1947 r. 10.500 hl i to w asortymentach „Jasne 9° Blg”, „Pełne 12° Blg”, „Słodowe 10,5° Blg” oraz „Kozłak 14,5° Blg”. Przystąpiono też do mozolnej pracy uruchomienia nieczynnej, od prawie 20 lat, słodowni. Pierwszy sód wyprodukowano w 1947 r. i szybko osiągnął on tak wysokie parametry jakościowe, że był wysyłany na eksport, m. in. duże ilości do Izraela. W latach 1948-1949 wyeksportowano 1.100 ton sodu.

Browar zielonogórski stał się kuźnią kadr piwowarskich. Od początku 1947 r. było to również zasługą głównego technologa, inżyniera przemysłu spożywczego Józefa Bieniarza, który działał w zielonogórskim oddziale NOT, a nawet był jego przewodniczącym przez dwie kadencje. Młodzi praktykanci to:

- **Bogdan Kandulski** z browaru w Grodzisku Wlkp.

- **Alfons Kolibabka**.

- **Alfred Goćwiński**, sympatyczny, zdolny młody człowiek, niestety przedwcześnie zmarł.

- **Henryk Owczarz**, jednocześnie ukończył liceum, potem studia w Warszawie, gdzie też był kierownikiem i dyrektorem browaru do emerytury.

- **Stanisław Prałat**.

Ponadto wielu piwowarów-praktykantów z innych browarów przyjeżdżało do Zielonej Góry na kilkumiesięczne praktyki.

W 1947 r. browar zielonogórski to już prężny, sprawnie działający zakład produkcyjny prowadzący planową produkcję, zbytu i modernizację, zatrudniający około 100 osób o coraz wyższych kwalifikacjach zawodowych, a nie jak w 1945 r. przyuczanych do zawodu. Niemcy już wyjechali, a dzielnicowe różnice u Polaków ulegały zatarciu. Nastąpiła pewna stabilizacja życia, sklepy były stosunkowo nieźle zaopatrzone, otrzymywano niewysokie, ale stałe wynagrodzenie. Wszyscy się cieszyli z wolności, wyrażali to w entuzjazmie do pracy, nauki i w chęci do zabawy. W każdą sobotę bawiono się w lokalach publicznych, zakładowych i szkolnych.

Wprawdzie wiadano, że w Polsce toczy się ostra walka polityczna, ale w Zielonej Górze jakoś mniej to odczuwano. Jeszcze w szkole była religia, sodalicja mariańska, a w każdą niedzielę młodzież z ks. Franciszkiem Wrzeszczewiczem maszerowała czwórkami z ulicy Licealnej do kościoła św. Zbawiciela na mszę świętą, ale już miały ponury gmach przy ul. Sikorskiego (dziś mieści się tam bank), którego okna piwniczne były osłonięte płotem z desek. Wiedzano, że jest tam UBP. Nie do wszystkich to docierało, szczególnie młodzi chcieli żyć normalnie, zawierali związki małżeńskie, rodziły się dzieci. W rodzinie C. i B. Borowczyków dnia 08.08.1947 r. przyszedł na świat drugi syn Ludwik. Urodził się w domu, na terenie browaru, a pod koniec sierpnia Kazimierz Konieczny landem zawiózł go do chrztu świętego w kościele św. Jadwigi.

Państwo Borowczykowie prowadzili w Zielonej Górze dom otwarty, bywało w nim wielu znanych zielonogórców, którzy godnie pożegnali dyrektora Bronisława Borowczyka i jego rodzinę, kiedy w styczniu 1948 r. przenosił się do Poznania. Rozpoczął tam pracę w starym browarze, nieopodal operetki i hotelu „Poznań” (obecnie wybudowano nowy browar, a stary jest nieczynny). W browarze poznańskim był kierownikiem produkcji i kierownikiem browaru, a produkował tam nawet piwo „Porter” i „Basztowe”.

Gdzieś w ministerstwie zdecydowano o likwidacji słynnego browaru w Grodzisku Wlkp., który wówczas podlegał Przedsiębiorstwu Przemysłu Terenowego, a jego dyrektor, Tadeusz Grabski (późniejszy wojewoda poznański), zwrócił się do B. Borowczyka o pomoc. Ten, zostając w 1962 roku dyrektorem, podjął walkę o uratowanie jedyne w Polsce browaru produkującego piwo ze sodu pszennego, wędzonego i stosującego drożdże górnej fermentacji w temp. 18-22 stopni C.

Udało się wspaniale, piwo produkowane w Grodzisku otrzymało znak jakości „1”, a następnie nawet „Q”, międzynarodowy znak jakości. Browar w Grodzisku prosperował dobrze, więc

dyrektor B. Borowczyk mógł w 1974 r. spokojnie odejść na emeryturę po 44 latach pracy w piwowarstwie.

Nareszcie mógł poświęcić więcej czasu swej pasji – kolekcjonerstwu związanemu z piwem. Zbierał różne rzeczy, ale najciekawsza to kolekcja kufli do piwa, np. w kształcie trupiej czaszki czy korpulentnej zakonniczki.

Niejednokrotnie też browary zwracały się do niego, jako do eksperta, o fachową poradę. Czas jest nieubłagany, Bronisław Borowczyk zmarł w 1991 r., a Cecylia w 1993 r. Są pochowani w Poznaniu na Miłostowie.

C. i B. Borowczykowie mieli pociechę z trójki dzieci i trojga wnucząt. Za wyjątkiem Tadeusza wszyscy mieszkają w Poznaniu:

- Maria i mąż Bogdan, prawnicy, na emeryturze, ich córka Kasia i zięć Paweł, młodzi lekarze.

- Tadeusz po ukończeniu historii, studiował nadal, jest księdzem kapłanem w szpitalu w Rawiczu.

- Ludwik i żona Barbara, mgr. inżynierowie, jeszcze pracują, ich córka Agnieszka rozpoczęła pracę polonistki w liceum, które sama ukończyła, a syn Jędrzej jest studentem politechniki.

Prosimy czytelników o wybaczenie, że osobą Bronisława Borowczyka zajęliśmy tyle miejsca, ale naszym zdaniem, to właśnie on przez 3 lata pracy w okresie pionierskim, zajął jedno z ważniejszych miejsc w historii zielonogórskiego browaru. A że był osobą nietuzinkową i z nami skoligaconą, posiadamy o nim dużo informacji.

Mamy nadzieję, że po nas spiszą swe wspomnienia również inni pionierzy-pracownicy browaru, a my poznamy jeszcze wiele ciekawych spraw, z którymi nie mieliśmy styczności lub które umknęły z naszej pamięci.

Jadwiga i Alfons Kolibabkowie

Jadwiga Kolibabka z d. Wolska, ur. w 1928 r., pochodzi z Pińska (Polesie). W Zielonej Górze od 15.09.1945 r. Odzieżowiec-ekonomista. Emerytka. 1960-1965 towaroznawca, kier. KT WPTO Hurtownia Odzieżowa w Zielonej Górze. 1965-1985 kier. Dz. Produkcji i Usług, kier. Dz. Ekonomicznego WCH Zielona Góra.

Alfons Kolibabka, ur. w 1919 r. Pochodzi z Rydzyny (Wielkopolska). W Zielonej Górze od 10.08.1945 r. Piwowar-słodownik. Emeryt. 1945-1948 praktykant, piwowar Browaru Zielona Góra. 1948-1959 kier. laboratorium, kier. Browaru w Połączynie Zdroju. 1960-1982 piwowar, kier. Słodowni Browaru Zielona Góra.



Pamiątkowa tablica ofiarowana dyrektorowi Bronisławowi Borowczykowi 31 stycznia 1948 roku przez współpracowników.

WOKÓŁ PRZESIEDLEŃCZYCH TEMATÓW

Repatriacja, albo jak chce prof. Krystyna Kersten – deportacja, doczekała się obfitej literatury historyczno-socjologiczno-wspomnieniowej. Nic w tym dziwnego. Przecież losy Polaków, wypędzonych ze swych rodzinnych siedlisk na dawnych kresach wschodnich Rzeczypospolitej bądź uwolnionych z sowieckich gułagów, były naznaczone tak licznymi dramatami i tragediami, i stanowiły przecież w swojej skali zjawisko masowe, iż nie mogły pozostać niezauważone w polskim powojennym piśmiennictwie.

Z biegiem czasu wykreowano osadnika jako wzór Polaka dzielnie acz z móżdżem zagospodarowującego tzw. Ziemię Odzyskaną, wesół z przybyszami z innych regionów kraju współtworzących coraz bardziej zintegrowane wspólnoty. Natomiast starano się dyskretnie przemilczać nostalgie i tęsknoty ludzi zza Buga za miejscami swego urodzenia i wieloletniego zamieszkania, ostrą cenzurą czasową przecinając życiorysy starszego pokolenia, młodemu zaś wmawiając, iż ich polskość zaczęła się dopiero w 1945 roku na ziemiach rozciągniętych wzdłuż linii Odry i Nysy.

Niektórzy socjologowie w pośpiechu obwieszczali powstawanie nowych zintegrowanych społeczności wiejskich i miejskich, wyprzedzając naturalne procesy, które nie mogą wszak dokonać się w jednym pokoleniu. W ten sposób sekundowali propagandowej tubie politycznej, głoszącej wysoki poziom gospodarczy i kulturalny regionu Środkowego Nadodrza. W niczym nie pomniejszając dorobku społeczności zachodnich rubieży kraju, należy jednak uznać owe propagandowe hasła za mocno przesadzone, służące stricte politycznym celom.

W okresie transformacji ustrojowej obnażyła się pustka owych sloganów, rzeczywistość okazała się nie tak piękna, jak ją przedstawiano. Zwłaszcza w dziedzinie kultury, szeroko pojętego piśmiennictwa i czytelnictwa. Chociaż te sfery naszego życia duchowego były objęte mecenatem państwowych instytucji, to jednak rezultaty osiągnięto mizerne. Widać zwłaszcza w literaturze pięknej, w prozie i poezji.

Dzisiaj, po przeszło pięćdziesięciu latach naszej obecności nad Odrą, gdy nie wygasły a nawet żywe są wspomnienia o Wilnie i Lwowie, warto przyrzeć się, jakie doświadczenia wykorzystali nasi pisarze, jakie obrazy artystyczne zawarli w swoich powieściach, opowiadaniach i wierszach. Czy podołali, udźwignęli ten wielki temat wędrówek Polaków za swoim miejscem na ziemi, za swoim dachem nad głową?

Niestety, odpowiedź nie jest optymistyczna. Artystyczny dorobek literatury, poświęconej repatriacji, nie przynosi satysfakcji. Przy tym, warto zauważyć, mało jest książek, które by ukazywały trud podróży repatriantów, po bolesnym rozstaniu ze swoją miejscowością. Wiem sam coś na ten temat, ponieważ z matką jechaliśmy ze Smorgoni do Polski trzy miesiące, zamknięci w towarowym wagonie wraz z trzema innymi rodzinami. Podczas postojów, które trwały tak długo, dopóki maszynista nie dostał bimbru i zakąski, organizowałem drewno na opał „kozy” stojącej pośrodku wagonu, matka zaś dyskretnie czyściła mi włosy ze wszy...

Otóż, sama tylko taka podróż stanowi świetne literackie tworzywa, nie wspominając już o tym, jak przypadkiem znalazłem się w Gorzowie, a nie na przykład w Zielonej Górze czy Trzciance, gdyż osiedliła się część mojej rakowskiej rodziny. Trochę takich reminiscencji można odnaleźć w licznych tomach prozy Zygmunta Trziszki – autora najbardziej obszernie acz

powierzchniowo ukazującego osadnictwo polskich chłopów z Podola i Wołynia na ziemiach leżących w dawnym powiecie strzelecko-krajeńskich. Trziszka barwnie opisuje owe zetknięcie Polaków z obcą sobie krainą, z ludźmi o odmiennej mentalności, z nieznanym im typem zabudowy i inną kulturą agrarną. Niestety, proza ta naznaczona jest piętnem werystyczno-reportażowym, brakujące jej walorów artystycznych. Tkwi w schematach socjologicznych, pisana była w konwencji teologicznej, czyli fabuły autor podporządkowuje z góry założonym tezom. Stąd mała jej autentyczność, mierzliwy psychologiczny a do tego autor każe swoim bohaterom posługiwać się językiem dla nich kulturalnym, który jednak stanowi stop różnych gwar i brzmień bardzo sztucznie. Gdy wędrowałem po okolicach Lippek Wielkich nigdzie nie napotkałem tak uduchowionej mowy.

Po kilku tomach „osadniczej” prozy Zygmunt Trziszka wszedł w nurt narracji zbliżonej do groteski i dopiero wówczas zaczął osiągać jakieś efekty artystyczne. Ale wtedy też zainteresowały go inne rewiry tematyczne. Jak się wydaje, nastąpiło u niego ostatecznie pożegnanie z młodzieńczymi fascynacjami.

A swoją drogą tego typu „osadnicza” proza, nafaszerowana schematami i stereotypami, dobrze służyła ówczesnej propagandzie, choć może i słusznie opisywała awans społeczny młodego nauczycielczaka – tytułowego bohatera jednego z opowiadań Trziszki. Szkoda tylko, że jest to jeszcze jedna plakato-wa czytanka.

Natomiast znakomitą, niesłusznie przemilczaną, powieść wydał Stanisław Srokowski pod tytułem „Repatrianci”. Ten gruby, liczący ponad 400 stron epickiej prozy tom, zawiera opis podróży do Polski garstki społeczności wiejskiej gdzieś z pogranicza Wołynia i Podola. Ładny język literacki przeplatany jest wpływami ukraińskiego i jidysz.

Głównym bohaterem jest nastolatek i jego to oczyma oglądamy świat rzeczywisty i wymaginowany, zarówno powracamy do czasu przeszłego – zamieszkiwania w opuszczonych miejscowościach, jak i teraźniejszego – odmierzanego stukotem kół wagonu towarowego po torach kolejowych, prowadzących gdzieś na Zachód, niepokojący i pełen niewiadomych. Po przekroczeniu granicy młodociany narrator powiada: „A ja wciąż widzę jak wielki smok, gdy pociąg już był po drugiej stronie („Boże, Polska, Polska”)”, podnosi ogon i cały korpus i nisko płynie w powietrzu, a już z bardzo daleka widzę, jak się podnosi coraz wyżej, a potem zarzuca potężny ogon i wisi w powietrzu. „No, jak my już minęli granicę, ludzie odetchnęli” – opowiada staruch Bohdziej. „A czy wiecie, że oni pytali o paszport nieboszczki”. „Paszport u niej jest, dokumenty, aaa?” – pytali, ale nie mogli się dopytać i machnęli ręką.

Wagon repatriancki jest zaludniony barwnymi, żywymi postaciami, a wiezione bydelko traktowane jest po ludzku. Dzieją się w tym wagonie zwykłe i nadzwyczajne wydarzenia, ujawniają się człowiecze słabości i walory charakteru. „Mijane w szarościach i o zmierzchu lasy rozstępowały się przed repatrianckim pociągiem. A ludzie czochrali się i rozdrapywali sobie skórę”.

Sukces powieści Stanisława Srokowskiego upatruję w przyjętej konwencji, bliskiej realizmowi magicznemu. Możliwe to dzięki temu, że ten świat porzucony i rzeczywistość wagonowa, oglądamy oczyma nastolatka, którego wyobraźnia dobrze służy tej konwencji. To ta wyobraźnia wywołuje demony i upio-

ry, pozwala przeniknąć światy ciemności, lepiej rozpoznać niepokojący szept, migające cienie. Do tego nie ma tu tradycyjnej chronologii, czas jest przemieszany, co pewien czas powracają obrazy i wydarzenia z przeszłości, tej niedalekiej i bliższej. Jawią się wyimaginowane projekcje nieznanego jeszcze przyszłości.

Wyznam, że zaimponował mi pisarz, tak dobrze i naturalnie wcielając się w postać nastolatka. Może dlatego, że i ja podczas tych trzech miesięcy podróży do Polski obracałem się jakby w wyimaginowanym świecie, choć przecież nie tak bogatym w wydarzenia, a miałem przecież wówczas chyba tyle samo lat... Sądję, że głównym atutem Srokowskiego stała się jego bogata, wrażliwa wyobraźnia poetycka. Stąd język tej prozy jest miękki, liryczny, obrazowy. Przydaje to jej uroku, zarazem wzmacniając siłę ekspresji.

Jeśli natomiast kogoś interesuje poetycki przekaz podróży do Polski, radzę sięgnąć po tomik Aleksandra Jurewicza, zatytułowany „Lida” a nagrodzony swego czasu przez Czesława Miłosza. Tu również narratorem, podmiotem lirycznym jest

pięcioletni chłopczyk, który po latach rekonstruuje wydarzenia związane z wyjazdem do Polski. Pośpieszne przyciąganie na jego ulicach/z odrapanymi kolanami, z pudełkiem/klocków ściskanych w rękach/Budzi mnie śpiew kobiet wracających/z niedzielnych niesporów/i przekleństwa mężczyzn w czereśniowym/sadzie przy samogonie...”

Ten „głód dzieciństwa” wszechobecny w tym pięknym poemacie, noszę i ja go w sobie, daremnie starając się nie raz dotrzeć pamięcią do jego źródeł. Tylko, żeby go wyrazić, trzeba być poetą tej miary co Jurewicz.

Pokolenie wykorzenionych z własnego dzieciństwa i rodzonej ziemi jest pokoleniem mocno okaleczonym. Z konieczności mistyfikujemy więc młodość lata. I to wydaje się wybacalne. Usprawiedliwia to naszą beznadziejność.

Trudno jest natomiast wybaczyć mistyfikację wieku dojrzalego, nawet jeśli to będzie literacka konfabulacja w wydaniu Zygmunta Trziszki – swego czasu barda Ziemi Lubuskiej...

Zenon Łukaszewicz



W 1946 r. w Liceum Ogólnokształcącym na placu Słowiańskim odbyła się pierwsza w powojennej Zielonej Górze matura, którą opisujemy w następnym numerze. Dziś o swoim egzaminie maturalnym opowiada jeden z „wnuków pionierów”, Kuba Łysakowski z Komisji Młodzieżowej SH SPZG.

MOJA MATURA

W tym roku zdawałem maturę. I zdałem, ale nie to uczyniłem przedmiotem opisu. Mianowicie chciałem przedstawić obecną formę przeprowadzania egzaminu dojrzałości, gdyż w wielu kwestiach różni się ona od poprzedniej.

Największą innowacją jest kodowanie prac pisemnych. Przed rozpoczęciem pisania abiturienti otrzymują do wypełnienia formularz o danych osobowych zdającego. Kwit wkłada się następnie do koperty, która zostaje zaklejona do momentu oceny pracy przez nauczyciela. Uczeń nie podpisuje swojego wypracowania – jego jedynym „znakiem rozpoznawczym” stanie się liczba-kod umieszczona nad tytułem pracy.

Różne opinie zostały wyrażone na temat kodowania. Jedni twierdzą, że to dobrze dla ucznia, ponieważ pozostaje anonimowy, przez co może liczyć na obiektywną ocenę ze strony sprawdzającego. Inni sądzą, że jest to na niekorzyść zdającego, gdyż może się zdarzyć, że uczeń o dużych zdolnościach i umiejętnościach (czego np. dowiódł na lekcjach) otrzyma ocenę nie odpowiadającą jego wiedzy, bo sprawdzający nie zna go i nie będzie mógł należycie ocenić. Problem ten zilustruję przykładem: otóż w LO 1 w Zielonej Górze, gdzie prace kodowano, w mojej byłej klasie dwa najwyższe stopnie z matury z języka polskiego, to były oceny dobre (reszta to mierne i trójki),

podczas gdy z tego samego przedmiotu w jednym z liceów w Krakowie, gdzie prace były jawne, sprawdzone przez nauczyciela prowadzącego daną klasę, padło siedem ocen celujących.

W Liceum nr 1 w Zielonej Górze obowiązywało pięć egzaminów: z języka polskiego pisemny i ustny, z innego dowolnie wybranego przedmiotu także oraz ustny egzamin dodatkowy. Podobnie jak w latach ubiegłych, ocena bardzo dobra lub celująca z matury pisemnej zwalniała z egzaminu ustnego. Bez zmian pozostały: maskotki, kanapki, napięcie w oczekiwaniu na pytania, ściągę i prośby o odpowiedź, genialne myśli lub nagły zamęt w głowie, szal radości lub gorzkie porażki i rzecz, której nie mogły się wyżyć całe pokolenia – stres.

Właśnie ze względu na stres coraz częściej mówi się o zniesieniu matury. Zwolennicy tego pomysłu wychodzą z założenia, że człowiek nie jest w stanie odtworzyć i zaprezentować swojej wiedzy z czterech lat w ciągu pięciu godzin lub dwudziestu minut. Popierający maturę twierdzą, że pozwala ona sprawdzić umiejętności ucznia i zweryfikować jego wiedzę w dostateczny sposób. Obecnie przygotowywany jest nowy projekt matury, który być może rozstrzygnie i pogodzi wiele kontrowersji na ten temat.

A co do samego egzaminu?

Pisemny egzamin z języka polskiego moja klasa zdawała w czytelni licealnej biblioteki. Było nas mało, bo 25 osób i stąd to postanowienie dyrekcji. Resztę klas umieszczono na sali gimnastycznej (straszny panował tam zaduch, była wtedy słoneczna pogoda) lub na korytarzach obu piętér szkoły.

U nas w czytelni, na szczęście, było chłodno. O godzinie dziewiętej otworzono kopertę z pytaniami maturalnymi. Przedtem dwoje nauczycieli oraz dwoje uczniów sprawdziło, czy koperta jest w nienaruszonym stanie. Następnie przewodniczący 3-osobowej komisji egzaminacyjnej zadał wszystkim zdającym pytanie: „Czy wszyscy są zdrowi, czy czują się dobrze i są w stanie pisać maturę?”. Po otrzymaniu odpowiedzi twierdzących otworzył kopertę i przeczytał zagadnienia, których treść odebraliśmy, jako nie mające sprawić nam większego kłopotu. Przed nami było 5 godzin wytężonej pracy umysłowej. W tym czasie oprócz pisania uczniowie z mojej klasy jedli kanapki, które wraz z dwoma litrami wody mineralnej mieli na stołach, gryźli końcówki długopisów, wpatrywali się w maskotki, które przynieśli ze sobą (ja swojej zapomniałem), wymieniali uwagi z uczniami z sąsiednich ławek, wychodzili „za potrzebą”, niektórzy się śmiali, niektórzy czasem zapłakali, ale i tak wszystko dobrze się skończyło dzięki wsparciu nauczycieli, którzy

nie pozostawali obojętni na chwilowe „załamania nerwowe” uczniów. Po zakończeniu pisania, poprawieniu błędów, oddawano prace. Wtedy jeden z egzaminatorów zielonym długopisem zakreślał w kółka błędy, które sami przedtem poprawiliśmy, liczył je i wpisywał ich liczbę pod zakończeniem wypracowania. Ma to zapobiec ewentualnym późniejszym manipulacjom lub wątpliwościom.

Następnego dnia pisałem egzamin dojrzałości z historii (bo ją wybrałem jako drugi przedmiot). Tym razem znalazłem się wraz z około siedemdziesięcioma uczniami (połowa z nich zdawała historię, druga połowa biologię) na sali gimnastycznej. Obawiałem się dusznej atmosfery, lecz na szczęście na zewnątrz było chłodniej niż dnia poprzedniego.

Nastąpiła ta sama procedura: o godz. 9⁰⁰ – otwarcie koperty, po sprawdzeniu jej ważności, sakramentalne pytanie o stan zdrowia i do boju! Tu również pytania i zagadnienia zarówno z biologii jak i historii spotkały się z ogólną aprobatą. Ba! Nawet z entuzjazmem w niektórych przypadkach. Po tygodniu, nazajutrz po ogłoszeniu wyników matury pisemnych, rozpoczęły się o godz. 8⁰⁰ ustne egzaminy dojrzałości. Pytania, które około miesiąca wcześniej zostały nam udostępnione; pogrupowano w zestawy po 3 pytania (w przypadku historii – po 3 zagadnienia, plus tekst źródłowy do opracowania). Przed komisją egzaminacyjną zawsze znajdowało się troje uczniów: podczas, gdy jeden odpowiadał, pozostała dwójka przygotowywała się, czytając notatki na przygotowanych uprzednio kartkach. Reszta zdających czekała w tym czasie na zewnątrz gabinetu lekcyjnego i przeważnie „szlifowała” swoje wiadomości oraz oczekiwała na wieści z egzaminu. Każdy, kto wychodzi z klasy, jest natychmiast wypytywany o treść pytań, które dostał. Wyniki są ogłaszane jeszcze tego samego dnia, a same egzaminy ustne są przeprowadzane przez cały maj. Świadectwo dojrzałości otrzymałem 6 czerwca na uroczystym zakończeniu roku klas czwartych.

Jakub Łysakowski

NARESZCIE WAKACJE

Jest piękna, słoneczna pogoda, zieleń dookoła i co najważniejsze, na dwa miesiące pożegnaliśmy się ze szkołą.

Każdy z nas z wielką radością wpadnie w wir wakacyjnych uciech: wczasów z rodziną, kolonii, obozów czy samotnych wypadów do miejscowości nad Bałtykiem, w górach, nad jeziorem.

Dzisiaj praktycznie każdy mieszkaniec Zielonej Góry (mając oczywiście odpowiednie ku temu środki) może w ciągu tych dwóch miesięcy udać się w dowolne miejsce w Polsce, by tam – nie zawsze leżąc do góry brzuchem – odpocząć.

Nie zawsze jednak mieszkańcy naszego miasta mogli wyjeżdżać na wakacje w dowolne miejsce w Polsce. Tak na przykład było w pierwszych latach wolnej Zielonej Góry. Aż trudno dziś uwierzyć, że w latach 1945-46 wszystkie wycieczki zielonogórzan ograniczone były do obszaru miasta, a w najlepszych przypadkach do najbliższych jego okolic.

Jednym z najpopularniejszych wówczas miejsc rekreacyjnych, gdzie gromadzili się mieszkańcy Zielonej Góry, był Wąmostaw, jakże różniący się swym wyglądem od dzisiejszego. Ten wówczas pięknie zagospodarowany fragment zieleni z oczkiem wodnym, posiadał m.in. restaurację, cukierenkę oraz łódki, na których, wśród rozbawionych i rozkrzyczanych mie-

szkańców miasta, można było też dostrzec zakochane pary, romantycznie trzymające się za ręce. Nic więc dziwnego, że na sobotnie czy niedzielne pikniki, schodzili się tam całymi rodzinami mieszkańcy Zielonej Góry. Ponieważ wypoczynek na Wąmostawie był bardzo dobrze zorganizowany, dlatego mamy przychodzące tam ze swoimi pociechami, mogły sobie wypocząć. Zatrudnione tam opiekunki do dzieci trzymały pieczę nad maluchami.

Drugim idealnym miejscem na pikniki i spacerowały Wzgórza Piastowskie. Po długich spacerach malowniczymi i uroczymi alejkami można było odpocząć na ławeczkach w cieniu drzew, słuchając np. zastalowskiej orkiestry lub uczestnicząc w imprezach artystycznych, odbywających się w amfiteatrze o znacznie mniejszych rozmiarach niż obecny obiekt. Bardziej wytrwali podejmowali próby zdobycia okolicznych wzniesień. Brak telewizji w tamtym okresie powodował, że mieszkańcy miasta niezwykle chętnie chodzili do kina Nysa lub Hali Ludowej. Jednak największą popularnością, szczególnie w okresie wakacyjnym, cieszyły się kina letnie przy ulicach: Chopina i Reja. Do tych kin z największą przyjemnością chodziło się w okresie kwitnienia akacji, której niesamowity i bardzo intensywny zapach, przenikał powietrze i wprawiał kinomanów w niezapomniany nastrój.

Najdalszym odwiedzanym przez zielonogórzan miejscem wycieczkowym była Wieża Braniborska znajdująca się wówczas poza granicami miasta. Nie było to wtedy miejsce zagospodarowane, stąd wstęp na Wieżę był wolny. Każdemu komu udało się dotrzeć na Wieżę, żal było ją opuszczać. Nic dziwnego, gdyż widok na miasto, jego zieleńce, parki, ogrody i ogródki, był przepiękny, zwłaszcza wiosną.

W latach późniejszych sytuacja dotycząca miejsc odpoczynku zielonogórzan zmieniła się na lepsze.

Różne przedsiębiorstwa, szkoły i kościoły, wysuwały mieszkańcom przeróżne propozycje spędzenia wolnego czasu. Organizowano wycieczki rowerowe i piesze do ciekawych i zabytkowych miejsc znajdujących się w okolicach Zielonej Góry oraz spływy kajakowe, grzybobranie itp. Również szkoły raz w roku organizowały jedno-, dwu- lub trzydniowe wycieczki i biwaki dla uczniów.

W roku 1945 zawiązało się PTTK, które zapraszało zielonogórzan na wiele wycieczek po mieście i jego okolicy, mających na celu ukazanie ich walorów turystyczno-krajoznawczych. Silny rozwój w tym okresie przeżywało ZHP. Powstawały nowe zastępy i drużyny, które wyjeżdżały na zloty harcerskie, biwaki i letnie obozy.

Bardzo lubianą i często odwiedzaną przez młodzież zielonogórską miejscowością był Carolat (obecnie Siedlisko), leżący za Nową Solą. W tej miejscowości nad Odrą znajdował się pałac, który w ramach biwaków i szkolnych wycieczek, był odrestaurowany przez harcerzy i uczniów. Pałac ten leżał w prześlicznej okolicy, był otoczony dużym parkiem, gdzie latem kwitł łubin w różnych odmianach. Uczniowie i harcerze przyjeżdżający do Siedliska bawili się w archeologów-amatorów, znajdowali często stare monety, naczynia porcelanowe i inne wartościowe starocie. Obok wyjazdów i wycieczek zielonogórzanie organizowali sobie: dorośli bale, a młodzież, zamiast dzisiejszych dyskotek – prywatkę.

Zazdroszczę Pionierom Zielonej Góry, że potrafili tak wspólnie bawić się, pomimo istniejących wówczas zakazów i ograniczeń. Uważam nawet, że wyszło im to na dobre, gdyż „zaknieni w granicach miasta” mogli je bardzo dobrze poznać i szybciej przyzwyczaić się do nowego domu, do którego przywiali ich wichry wojny.

Karolina Bazydło

„Wiem wszystko o Zielonej Górze”

Na początku tego roku Szkoła Podstawowa nr 10 w Zielonej Górze zorganizowała dla uczniów klas siódmych i ósmych ze wszystkich zielonogórskich szkół podstawowych konkurs „Wiem wszystko o Zielonej Górze”. Miał on na celu zainteresowanie młodych zielonogórczan miastem. Jako że posiadam pewne wiadomości o historii i teraźniejszości naszego miasta, postanowiłem spróbować swych sił. Finał poprzedziły eliminacje szkolne. W mojej Szkole, nr 3, brało w nich udział 15 osób. Pisemny test składał się z 25 pytań.

Finał odbył się 27 lutego br. w Szkole nr 10 przy ulicy Zamenhova. Składał się z dwóch etapów i ścisłego finału, do którego weszło 5 z 13 osób. Nagrody: rower górski, radiomagnetofon i książki ufundował Urząd Miejski. Wszystkich uczestników wyróżniono dyplomami.

Wygrałem ten konkurs między innymi dzięki wiadomościom, które zdobywałem na zebraniach Komisji Młodzieżowej Sekcji Historycznej Stowarzyszenia Pionierów Zielonej Góry.

Jakub Siwiński, VIII kl. SP nr 3

A oto przykłady pytań, na które musiał odpowiedzieć Jakub, aby zająć I m-ce w konkursie i wygrać wspaniały rower. Spróbujcie odpowiedzieć i wy!



„Wokół Wzgórz Piastowskich”

Wzgórza Piastowskie obejmują część głównego grzbietu Wału Zielonogórskiego. Jest to teren malowniczych wzniesień morenowych i obniżeń o przeciętnej wysokości 120-150 m n.p.m. z najwyższym kopulastym wzniesieniem Górą Wilkanowską o wysokości 221 m n.p.m. Wzgórza znajdują się między szosami: Zielona Góra-Wilkanowo-Świdnica, Świdnica-Ochla i Ochla-Zielona Góra a od strony miasta między osiedlami: Przyjaźni, Piastowskim i Kilińskiego. Na Górze Wilkanowskiej znajduje się 80-letnia wieża tzw. Parkowa wysokości 20 m. Służy ona jako punkt obserwacji przeciwpożarowej i przekaznik radiowy. Z wieży i z góry rozciąga się rozległy widok na całą okolicę łącznie z Zieloną Górą. Cechą charakterystyczną tych Wzgórz jest ich falistość i sięgające ponad 85 proc. powierzchni zalesienie. Z występujących gatunków drzew zdecydowanie przeważa sosna i zajmuje ona około 80 proc. obszaru leśnego. Żyją tu sarny, zające, jelenie i dziki.

Ciekawym fragmentem Wzgórz jest Park Piastowski, sąsiadujący z miastem osiedlem Piastowskim. Zajmuje on teren o powierzchni 5 ha porośnięty wielogatunkowym drzewostanem. Występuje tu prawie 100 gatunków i odmian roślin drzewiastych rodzimych i obcego pochodzenia. Spotykamy liczne drzewa będące pod ochroną pomniki przyrody m. in. świerk kaukaski, sosnę, limbę, sosnę żółtą, kasztan jadalny, wrzosiec, buk. Są także okazałe głązy narzutowe. Z parkiem sąsiaduje wybudowany w 1973 r. amfiteatr dla około 4.500 widzów. Posiada on pełne wyposażenie techniczne z odpowiednim zapleczem. Organizowane są tu różne masowe imprezy kulturalne dla mieszkańców Zielonej Góry, m. in. Międzynarodowy Festiwal Zespołów Folklorystycznych. W pobliżu amfiteatru naprzeciw Góry Tatrzańskiej wybudowano wyciąg narciarski i przygotowano stok slalomowo-zjazdowy.

Na terenie Wzgórz znajduje się również tzw. Zalew na Ochli-kąpielisko, składające się z dwóch basenów kąpielowych i jednego wykorzystywanego do hodowli ryb. Zalew położony jest blisko szosy Zielona Góra-Ochla (od pętli MZK przy ul. Botanicznej 2,5 km). Kąpielisko zasilane jest przez potok zwany Kiepińskim lub Młyńską Strugą. Ciekawie zaprojektowane kąpielisko z zapleczem, położone w kompleksie leśnym stwarza dobre warunki wypoczynku mieszkańcom naszego miasta.

- Jakiek plemię słowiańskie zamieszkiwało ziemię zielonogórską w czasach powstawania państwa polskiego?
- Zielona Góra leży w centrum krainy zielonogórskiej, otoczonej ze wszystkich stron rzekami. Wymień ich nazwy.
- Źródła historyczne niewiele mówią o początkach Zielonej Góry. Wiadomo jednak, że miasto na pewno istniało już od wieku...
- Na jakim prawie dokonano lokalizacji miejskiej Zielonej Góry i jakie pobliskie miasto dostarczyło bezpośredniego wzoru tej lokalizacji?
- Przy jakiej ulicy znajdował się prawdopodobnie zamek książąt piastowskich w Zielonej Górze?
- Wymień 2 dziedziny życia gospodarczego, które do pocz. XIX w. dominowały w Zielonej Górze.
- Najlepiej zachowanym fragmentem murów miejskich z XIV w. jest wieża zwana...
- Od kiedy Zielona Góra jest miastem wojewódzkim: 1945, 1950 czy 1975 roku?

ROZWIĄZANIE ZAGADKI Z POPRZEDNIEGO NUMERU:
Miejskie Koedukacyjne Liceum i Gimnazjum, pl. Słowiański.
Pierwszy dyrektor: S. Błaszczak.
Prawidłowe odpowiedzi nadesłały Justyna Straszko i Paulina Majorczyk.

Będąc na Wzgórzach koniecznie trzeba dostrzec i zobaczyć:
1. Źródło znajdujące się w głębokim wąwozie. Do źródła przychodzą liczni mieszkańcy Zielonej Góry po czystą i smaczną wodę.

2. Ośrodek Jeździecki w Ochli (koło leśniczówki i skansenu), gdzie chętni o różnym stopniu zaawansowania mogą skorzystać z jazdy konnej.

3. Muzeum Etnograficzne, Skansen Budownictwa Ludowego w Ochli istniejący od 1973 r. Do skansenu przeniesiono ze Śródkowego Nadodrza zabytkowe (z XVII-XX w.) obiekty budownictwa ludowego. Zgromadzono również wiele zabytków kultury technicznej i przedmioty użytkowe.

4. Świdnica, o której kronikarze wspominają już w XIV w., posiadająca ciekawe zabytki: dwór wzniesiony w XVIII w. i kościół parafialny z XIV w. We dworze czynne jest od 1979 r. Muzeum Archeologiczne Śródkowego Nadodrza z bogatymi zbiorami wykopalisk archeologicznych na Ziemi Lubuskiej. Kościół jest budowlą jednonawową z wyodrębnionym, zamkniętym trójbocznie prezbiterium. Interesujący jest zespół renesansowych nagrobków z XVI-XVII w. wmurowanych w ściany świątyni.

Baza żywieniowa wokół omawianego obszaru jest wystarczająca. Poza gastronomią osiedli zielonogórskich przyległych do Wzgórz, istnieją dwa bary w motelu koło Rybna (przy szosie Zielona Góra-Wilkanowo), w Świdnicy, w Ochli, w Ośrodku Jeździeckim k/leśniczówki w Ochli, na Zalewie w Ochli (sezonowy) oraz sklepy spożywcze z bogatym asortymentem artykułów spożywczych. Koło leśniczówki w Ochli znajduje się Ośrodek Szkoleniowo-Wypoczynkowy Lasów Państwowych, w którym można przeczekać i skorzystać z żywienia.

Przez Wzgórza Piastowskie prowadzą cztery szlaki turystyczne z węzłem przy Wieży Parkowej. Do wieży można dojść: szlakiem czarnym ze Ślonego, szlakiem czerwonym ze Świdnicy i Wilkanowa oraz z Zielonej Góry (ul. Botaniczna); szlakiem zielonym z Wyższej Szkoły Pedagogicznej (al. Wojska Polskiego) oraz ze Skansenu w Ochli, szlakiem niebieskim z amfiteatru oraz ze wsi Ochla. Wędrować (pieszo, rowerem, na nartach) można również poza wyznaczonymi szlakami po licznej sieci dróg i ścieżek. Na teren Wzgórz można dotrzeć pieszo bezpośrednio z przylegających osiedli lub dojechać miejskimi autobusami kursującymi w kierunku Wilkanowa, Świdnicy i Ochli. Do Wilkanowa jeżdżą autobusy linii „28”, „29”, do Świdnicy linii „28” a do Ochli linii „27” i „17” (sezonowy).

W okresie letnim MZK uruchamia sezonowe autobusy do kąpieliska. Na tych trasach kursują również autobusy PKS.

Wzgórza Piastowskie, dzięki swemu położeniu obok miasta, rozległym wzniesieniom i zalesieniu, stanowią dla mieszkańców Zielonej Góry idealny teren wypoczynkowy sprzyjający wędrownikom pieszym i kolarskim a w zimie także narciarskim.

Jerzy Łatwiński

Zielonogórcy studenci w Krakowie w XV i XVI wieku

Śląsk pod koniec panowania Mieszka I wcielony w granice pierwszego państwa polskiego przetrwał w tym korzystnym związku z Polską kilka stuleci jako jedna z dzielnic przodujących pod względem rozwoju przede wszystkim gospodarczego.

Rozbicie dzielnicowe odbiło się niekorzystnie na dziejach Śląska, wraz ze złączoną z nim Ziemią Lubuską. Walki wśród spadkobierców Krzywoustego doprowadziły do poważnego zmniejszenia się znaczenia tej prastarej dzielnicy polskiej. Zjednoczone przez Władysława Łokietka państwo polskie nie objęło swymi granicami nadodrzańskiej dzielnicy. Bowiem, po śmierci Henryka Pobożnego w bitwie pod Legnicą (1241), Śląsk wszedł w okres postępującego rozkładu i rozbicia na kilkanaście słabych księstewek, które już od początku XIV wieku znalazły się pod przemożnym wpływem dynastii Luksemburgów, przyjaciół Krzyżaków i wrogów Polski. Współczesny Łokietkowi i jego następcy Kazimierzowi Wielkiemu Jan Luksemburski wykorzystując sytuację na Śląsku po kolei podporządkowywał swej władzy księstwa śląskie. Trudna sytuacja państwa polskiego, poważne komplikacje międzynarodowe, m. in. wzrastające niebezpieczeństwo krzyżackie, zmusiły Kazimierza Wielkiego w 1335 r. do zrzeczenia się na rzecz Jana Luksemburskiego tych księstw śląskich, które już chytry Luksemburczyk zdołał zhołdować i podporządkować swej władzy. Była to ciężka ofiara ze strony ostatniego Piasta, ale politycznie nieodwracalna w imię zapewnienia Polsce nieodzownego jej wówczas pokoju potrzebnego dla wewnętrznej konsolidacji i stabilizacji.

I stała się rzecz przez nikogo nieprzewidziana. Łączność ludności Śląska, w przeważającej mierze polskiej, mimo odgrożenia nową polityczną granicą od Polski, nie tylko nie zanikła, ale z każdym dziesięcioleciem stawała się żywsza i owocniejsza. Zjawiskiem decydującym o wciąż utrzymującej się więzi Śląska z Polską były przede wszystkim więzy gospodarcze. Śląsk nie mógł żyć samodzielnie bez Polski.

Fakt ten, utrzymujący się przez całe stulecia, wyraźnie został wzmocniony przez zachowaną łączność kulturalną i naukową.

Od początku XV stulecia atrakcją dla młodych ludzi pragnących zdobyć wyższe wykształcenie stał się zreorganizowany i odnowiony przez Jadwigę i Władysława Jagiełłę, podupadły za czasów Ludwika Węgierskiego Uniwersytet Krakowski, zwany później Uniwersytetem Jagiellońskim. Sława tej uczelni wraz z poważnym rozwojem nauk przyrodniczych (m. in. matematyki, astronomii, geografii) rozchodziła się po całej Europie, czym w swe mury przyciągała wielu studentów z zachodnich i południowych krajów europejskich, z Niemiec i Węgier. Wśród poważnej liczby studentów przyjeżdżających do Krakowa wymienić należy przede wszystkim Ślązaków.

Dzięki Uniwersytetowi Śląsk pozostawał nadal w promieniu oddziaływania polskiego życia. Najoczywistszym tego świadectwem stała się imponująca liczba młodzieży ze Śląska studiującej w Krakowie. Po roku 1525 na ogólną liczbę wpisanych 25 356 studentów, trzy i pół tysiąca, czyli 14% stanowili Ślązacy. Ogółem zaś w ciągu XV i XVI wieku przewinęło się przez Uniwersytet blisko 4 tys. Ślązaków, co na 37 648 wpisów dało przeszło 10% wszystkich studentów. Warto przy tym pamiętać, co jeszcze bardziej podkreśla rolę Krakowa, że Śląsk poddany był wpływom, obok polskiego, dwóch innych narodów: czeskiego i niemieckiego i stojącym za nimi poważnym

ogniskom naukowym Pragi (od 1348 r., tj. od powstania uniwersytetu), Wiednia (od 1365), Erfurtu (od 1392) i wreszcie Lipska (od 1409). Mimo takiego stanu rzeczy, Kraków wyrósł ze swoim uniwersytetem ponad wyżej wymienione ściągał do swe mury m. in. wielu Ślązaków.

W starych księgach immatrykulacyjnych z XV i XVI wieku odnalezć można sporo imion studentów pochodzących z Zielonej Góry i Świebodzina oraz z bliższych i dalszych okolic tych miejscowości. Zaś zapis miejscowości, z której wpisujący się pochodził, jest tak charakterystyczny, że warto przytoczyć bodaj kilka przykładów.

Adam Ade de Zyelona 1411, Petrus Johannis de Gryenberg 1575, Valentinus Nicolai de Grinberg 1475, Gregorius Michaelis de Virido Monte 1485, Matthias Laurency de Grinberg 1492, Mattheus Petri de Viridi Monte 1500, Simon Jacobi de Grinberg 1503, Johannes Christophori de Gronberg 1517, Johannes de Grynberk 1517, Nicolaus Ade de Kontopa 1501, Nicolaus Bartholomaei de Zabor 1506, Caspar Johannis de Lethnycz 1509 (zapewne Letnica). Pisownia nazw miejscowości, skąd przybył immatrykulowany, jest godna zwrócenia uwagi. W okresie, w którym trudno mówić o ustalonej ortografii, musiały zdarzyć się zapisy Zyelona, Grinberg, Grineberg, Gronberg, czy nawet łacińska Viridi Monte. Chyba zapis z roku 1411 „Zyelona” wskazuje, jaką nazwę pierwotną miała Zielona Góra, zmieniona później na Grünberg.

Podobne zjawisko obserwujemy wśród zapisanych z Sulechowa, którego nazwa występuje też w kilku wersjach, wskazujących wyraźnie na pierwotne polskie jej pochodzenie. Vincentius Stefani Smyeth de Czulchow 1451, Laurentius Johannis de Czelchaw 1483, Bartholomeaeus Johannis de Cilich 1514, Petrus Petri de Cilich 1514, Nicolaus Petri de Zelyechowo 1515, Jacobus Mathie Zulicoviensis 1554, Johannes Johannis de Padligora 1492 (oczywiście dzisiejszy Podlegórz).

Nie inaczej też jest w odniesieniu do Świebodzina. Nicolaus Johannis de Swobeschin 1459, Alberti de Schwebischen 1468, Matthias Michaelis de Szwebozen 1468, Valentinus Martini de Swyebuszyn 1476, Asuerus Petri de Swobodzin 1478, Michael de Swebudzen 1490, Petrus de Szwybicen 1516, Frater Johannes de Paradiso 1450, Frater Nicolaus de Paradiso 1463, Thoma Petri de Sdzencze 1437 (zapewne Szczaniec), Casper Johannis de Stencz 1518 (Szczaniec), Sigismundus Stephani de Smarschow 1492 (Smardzewo). Z wymienionych nazw Świebodzina nietrudno odczytać jego pierwotną polską wersję.

We wszystkich przytoczonych przypadkach (a przecież dalekie są od wyczerpania) uderza całkowity brak imion niemieckich. Ma to niewątpliwie dodatkową wymowę. Można zaryzykować tezę, że wymienieni wyżej przybyśle na studia do Krakowa nie byli Niemcami.

Napływ studentów z Zielonej Góry urywa się z rokiem 1522, ze Świebodzina 1519, a z Sulechowa 1554. Nadchodził dla dziejów Śląska okres rozluźnienia więzi kulturowej z Polską, a głównym powodem tego stanu rzeczy stał się wzrost wpływów niemieckich związany z rosnącym oddziaływaniem reformacji. Z drugiej zaś strony na powstanie tej groźnej dla Śląska sytuacji nie miały wpływ wywarło zwrócenie się ekspansji polskiej na wschód, na obszary ziem litewsko-ruskich i zaniedbanie kresów zachodnich. Wreszcie niekorzystnym zjawiskiem hamującym przyjazdy młodzieży śląskiej na Uniwersytet stał się bezsporny fakt obniżania się od drugiej połowy XVI wieku poziomu naukowego uczelni.

Władysław Korcz

Polsko-ewangelicki kościół św. Trójcy

Do 1809 r. na wzgórzu za Bramą Górną (na obecnym pl. Słowiańskim) wznosił się polsko-ewangelicki kościół św. Trójcy. Okoliczności jego wybudowania wiążą się ściśle z sukcesami odniesionymi przez zwolenników prądów reformatorskich w XVI w. Działalność luteranckich kaznodziejów dość szybko zyskała uznanie wśród zielonogórskich mieszczan. Już w latach czterdziestych XVI w. większość parafian, w tym rada miejska, opowiedziała się za naukami Lutra, w związku z czym około 1545 r. luteranie przejęli kościół parafialny św. Jadwigi, który zresztą do roku 1651 kilkakrotnie zmieniał wyznawców. Luteranie kaznodzieje chcąc pozyskać wyznawców reformowanej wiary wśród mieszkańców okolicznych wsi, w większości polskich chłopów, wygłaszali kazania w języku dla nich zrozumiałym, a więc polskim. Ich nauki trafiły na wsi na podatny grunt i podobnie jak w samym mieście zdecydowana większość parafian przeszła na stronę ewangelików. W tej sytuacji zaszła potrzeba wybudowania świątyni dla ewangelików-Polaków, tym pilniejsza, że liturgia luterancka wymagała stworzenia dla niej odpowiednich ram architektonicznych, a rada miejska, co wynika z zachowanych dokumentów, nie życzyła sobie obecności polskich duchownych w murach kościoła parafialnego.

Nie zachowany kościół św. Trójcy, nazywany w dokumentach Kościołem Polskim, znamy dość dobrze, gdyż dysponujemy jego litograficznym widokiem oraz opisem zawartym w protokole wizytacyjnym parafii św. Jadwigi z 1688 r. Litografia o wymiarach 7,8x7,9 cm stanowi ilustrację (jedyną zresztą) do książki F. Förstera „Grünerg Geschichte” (Historia Zielonej Góry), wydanej anonimowo w 1848 r. Wykonana została przez G. Schwarza, według rysunku z natury F. K. Andersa, o czym informuje nas tekst pod ramką widoczku. W tekście tym podano też kolejność stron, na których autor opisuje zabytek. Nie ulega więc wątpliwości, że litografia odbita została w 1848 r. i jest kopią rysunku wykonanego zapewne krótko przed zburzeniem kościoła. Jego opis, zamieszczony we wspomnianym protokole wizytacji, nie pozostawia żadnych wątpliwości, że litografia stanowi wierny „wizerunek” kościoła w początku XIX w.

Kościół, zbudowany około 1590 r., był budowlą jednoprzestrzenną (z zakrystią), konstrukcji ceglano-szachulcowej, wzniesioną na rzucie wydłużonego prostokąta, zamkniętego od stro-

ny wschodniej pięciobocznie. Dwuspadowy, stromy dach budowli kryty był gontem. Wnętrze kościoła, do którego prowadziło dwoje drzwi, oświetlało 7 okien: trzy umieszczone w prezbiterium i po dwa w ścianach korpusu. Dwie empy (balkony) wybudowane wzdłuż ścian przesłaniały częściowo okna, które nie w pełni oświetlały wnętrze z odkrytą więźbą dachową i ceramiczną posadzką. Wyposażenie świątyni, jak zwykle w zborach ewangelickich, było skromne. Na murowanej mense ołtarza stał krucyfiks i dwa drewniane, polichromowane lichtarze. Nad ołtarzem natomiast znajdowała się rzeźba przedstawiająca Mękę Pańską.

Pierwotnie pośrodku kalenicy kościoła wznosiła się sygnaturka, której brak na litograficznym przekazie; nie wspomina o niej również protokół wizytacji. Niezgodność tę łatwo wytłumaczyć. Otóż kościół, a zwłaszcza konstrukcja dachu i jego pokrycie, poddawany był kilkakrotnym remontom. Krótko przed wizytacją w 1688 r. pokryto dach gontem, być może wtedy rozebrano zbędną sygnaturkę, gdyż kościół pełnił w tym czasie jedynie funkcję kaplicy cmentarnej.

Posługi duchowne w kościele św. Trójcy oraz w podzielnogórskich kościołach, gdzie przeważała ludność rodzima, sprawował polski diakon. Na przełomie XVI i XVII w. był nim Jan Romicki, magister teologii, absolwent wittenberskiego uniwersytetu. Obowiązki jego następcy, Melchiora Trieborskona, określiła rada miejska w dokumencie z 24 kwietnia 1609 r. W „preambule” aktu zobowiązuje się diakona, aby był posłuszny radzie (w pierwszej kolejności) oraz proboszczowi. Poza posługami sprawowanymi w kościele św. Trójcy polski diakon winien: wygłaszać kazania w Wilkanowie i Zawadzie, grzebać zmarłych w Chynowie, Łęczycy, Przylepie, Zawadzie i Zielonej Górze, udzielać komunii zarówno w mieście, jak i na wsi, a ponadto czytać fragmenty Biblii w kaplicy szpitalnej, wybudowanej przy cmentarzu św. Trójcy. W dokumencie ściśle określono należności w naturze i pieniądzu, jakie za swe posługi pobierać będzie diakon, zwrócono równocześnie uwagę, że wobec ubogich winien wykazać miłosierdzie. Dokument ogranicza działalność diakona wyłącznie do polskich kościołów i ludności polskiej; w kościołach niemieckich „er hat nicht zu tun” (nie nic do roboty). To ostatnie stwierdzenie jest dość wymowne. Niemiecka rada miejska, nieumozliwiając pełnienie posług religijnych wobec ewangelików-Polaków w kościołach niemieckich, utworzyła tym samym narodowościowe getto, w którym znalazła się zielonogórska i podzielnogórska mniejszość polska, mniejszość niewątpliwie uboższa, zamieszkująca przedmieścia i wieś.

Melchior Trieborskona wypełniał obowiązki polskiego diakona z przerwami do 1640 r. Zmarł w tym właśnie roku w wieku 78 lat. Jego następcą został Samuel Capricornus, przybyły do Zielonej Góry z Wolsztyna. Ostatnim duchownym kościoła św. Trójcy był Mikołaj Dubelius, który 15 marca 1651 r. zmuszony był przekazać klucze od Polskiego Kościoła radzie miejskiej i opuścić miasto. Do kościoła farnego wrócili katolicy. Dubelius osiadł w Nietkowie, gdzie od 1665 r. aż do swojej śmierci w 1679 r. był pastorem miejscowego kościoła, wybudowanego w okresie reformacji. Przedtem współdziałał przy budowie kościoła granicznego w Nowym Nietkowie.

W miejsce usuniętego polskiego diakona protestanckiego nie powołano już diakona katolickiego, a kościół św. Trójcy

przekształcono w kaplicę cmentarną, z której początkowo wyprawdzano zwłoki zarówno katolików, jak i protestantów, a od 1672 r. tylko katolików. Wprawdzie protestanci zwracali się w latach 1669 i 1686 o przekazanie im kościoła, który sami wybudowali, jednak ich starania nie odniosły skutku. W końcu XVIII w. kościół znacznie podupadł, a ponieważ groził zawaleniem, w 1809 r. został rozebrany; materiał z rozbiórki sprzedano za 314 talarów. Teren cmentarza, na którym wybudowano Polski Kościół, to obecny pl. Słowiański z otaczającymi go zabudowaniami. Użytkowany był do 1814 r. Przez następne dwadzieścia lat usuwano nagrobki i adaptowano teren do potrzeb nowego targowiska, które otwarto w 1835 r.

* * *

Na kalenicy kościoła św. Trójcy osadzone były dwa krzyże, widoczne na litografii Andersa: jeden od strony wschodniej,



Jest połowa czerwca. Jakiś olbrzym spawa niebo i ziemię. W zupełnej ciszy, nierealnie. A może cały świat stracił słuch? Pogrzeżyłem się w myślach. Naciera burza. Z ciemnego pokoju wpatruję się w mrok. Jest po północy. Leniwie idę ku przeszłości. Te wszystkie burze, które przeżyłem już nie powrócą. Tyle razy zanurzałem się we wspomnienia, a one nawet, gdy dotyczyły tych samych spraw, zawsze były inne. Dotyczyły życia w świetle dnia, często tłukły się po ciemnych zaułkach z tęsknotą, bólem, ale także z poczuciem wstydu i wyrzutów sumienia. Nie były pospieszne, raczej powolne. Życie także niby toczy się normalnie, raz szybciej raz wolniej. W ostatnich dniach jednak okrutnie przyspieszyło, aż po sam kres. Cztery pogrzeby w odstępie kilku dni i jak to się mówi, wszystkie z mojej półki albo nawet z tej poniżej. Znajomi i przyjaciele. Pierwszy, profesor z Wyższej Szkoły Pedagogicznej, kolejno pracownik naszego Muzeum, potem architekt zaprzyjaźniony z całą rodziną, a ostatnio bardzo mi bliski rzeźbiarz. Naciera burza. Jest jeszcze daleko, ale już ogłasza się ciężkim pomrukiem. Nad horyzontem błyskawice rozpruwają to, co zostało zespalone. Życie i śmierć to sprawy oddzielne. Ale tylko pozornie. Właśnie za życia trzeba się ze śmiercią oswoić. Jest ona nieunikniona. Trudno jednak przyjmować tę myśl spokojnie, choć nie ma wyboru. Najpóźniej życie i śmierć, czyli związek żywych i umarłych ukazał Jean-Paul Sartre: „Gdyby ludzkość znikła, zabiłaby swoich zmarłych na zawsze”.

* * *

Kiedy przyjechałem do Zielonej Góry Ty już byłeś tutaj trzy lata, od roku 1953. Na Twoich drzwiach wizytówka: Klem Felchnerowski, magister historii sztuki, artysta malarz, konserwator zabytków, technik budowlany. Gdy potem mieszkaliśmy po Tobie na Fabrycznej, na pozostałych drzwiach długo było widać ten jaśniejszy prostokąt głoścący, że jesteś nade wszystko artystą malarzem. Tę informację i nazwisko napisałeś innym kolorem. Ważne też było Twoje zawodowe wykształcenie. Znacznie później pisał Janusz Koniusz, że w naszym mieście z magistrów nie byłoby możliwe skompletowanie drużyny piłki nożnej. Po prostu, w Zielonej Górze brak było ludzi z wyższym wykształceniem.

* * *

Wspomnienia płaczą daty, nakładają się na siebie, mylą osoby, zapominają twarze. Ale te o Tobie raczej przybliżają do mnie wspólny czas. Stają się jaśniejsze, bardziej precyzyjne. Jak Ciebie zapomnieć. Nie sposób wymazać, nawet gdyby człowiek chciał. Byłeś moim pierwszym szefem. Jesienią dałeś mi buty, bo przyjechałem w środku lata w sandałach. Te buty nazywałem „klemensówki”. Najpierw były długo, mimo zużycia, w domu, potem w garażu. Gdy sprzątałem garaż dla dużego Fiata po limuzynie marki Trabant, wyrzuciłem je na śmietnik. Tak pozbyłem się mojej biedy. Sandałów nigdy nie noszę.

ponad prezbiterium, drugi (przekrzywiony) natomiast nad zachodnią ścianą szczytową. Bardzo symptomatyczny jest kształt tych krzyży: każdy z nich ma dwa równoległe ramiona, które tworzą formę krzyża jagiellońskiego. Konsekwentne, dwukrotne powtórzenie kształtu tego krzyża wskazuje, że nie jest on wymysłem rysownika. Polskie tradycje kościoła św. Krzyża zainicjowane więc zostały również wizualnie w jego sylwecie.

Grzegorz Chmielewski

Bibliografia: F. G. Förster: Grünerg Geschichte von frühster Zeit bis zum Jahre 1830. Grünerg 1848; M. Effner: Geschichte der katholischen Pfarrei Grünerg. Grünerg 1852; H. Schmidt: Geschichte der Stadt Grünerg. Grünerg 1922; T. Dzwonkowski: Parafia pw. św. Jadwigi w Zielonej Górze. Zielona Góra 1994.

* * *

Przyjąłeś do pracy także w 1956 roku Staszka Kowalskiego. Trudno mi było bez przyjaciela ze studiów. Po Tobie ja, a po mnie Staszek został Wojewódzkim Konserwatorem Zabytków. On był najdłużej, ponad 20 lat. Lubieś nas i głośno przedstawiał „moje wychowankowie”. Raz tylko się pomylił i oznajmił „moje wychowawcy”. A Staszek, niewdzięcznik „ale nauka poszła w las”.

* * *

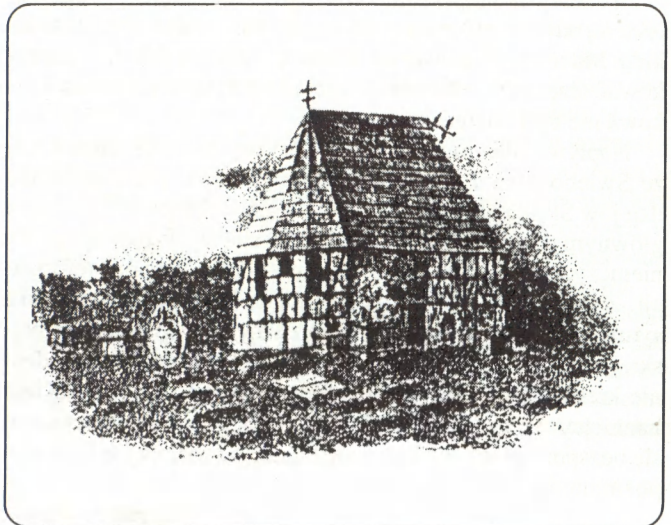
Klemens, jak to zrobiłeś, że znowu po Tobie ja zostałem dyrektorem Muzeum? Twój syn Armand był u mnie kierownikiem Działu Sztuki Współczesnej. Chciałem to koło zamknąć i doprowadzić, aby On był po mnie dyrektorem. Nawet zapisałem Go do partii. Jechaliśmy kiedyś do Olsztyna. Popatrzyłem na niego i mówię: – Przesiądź się koło okna. Armand popatrzył zdziwiony, ale się przesiadł. W takim układzie kiedyś my dwaj jechaliśmy także do Olsztyna. Z jedną różnicą, na podłodze stało wówczas kilka butelek piwa.

* * *

Twoi synowie Armand i Tytus mają się dobrze. Armand wykształcił się, pracuje w jakimś znakomitym wydawnictwie. Kiedyś zadzwonił telefon. Rozmawiałem tak, jak gdyby był tuż za ścianą. Po pół godzinie mówię – Przyjdź jutro do Muzeum, a Armand, że nie da rady. – Dlaczego? – Bo dzwonię z Monachium, z nowego mieszkania. Właśnie się przeprowadziliśmy. Tytus mieszka także w Monachium. Skończył jakieś studia artystyczno-pedagogiczne. W Zielonej Górze mieli złe opinie. W gazecie przeczytałem, że w archiwum Służby Bezpieczeństwa było zdjęcie Armanda. Z notatki wynikało, iż On i jego brat to elementy podejrane. Gromadzą wokół siebie młodych ludzi nie akceptujących socjalizmu. Szczegółów już dobrze nie pamiętam. Ale tę notatkę z gazety przesłałem Armandowi. Obaj mnie odwiedzili, tacy wspaniali mężczyźni, a kiedyś obaj siedzieli w jednym okrągłym koszu na bieliznę. To było jeszcze w tym mieszkaniu na ulicy Fabrycznej 20 D. Pokój z kuchnią. A teraz Armand ma do dyspozycji ponad 100 metrów kwadratowych.



Koźuchów 1957 – Klem Felchnerowski (w okularach), obok niego autor wspomnień.



* * *

Już prawie dochodziłem do Muzeu, a na wysokości Szkoły Muzycznej zobaczyłem Ciebie. A przecież wiedziałem, że to niemożliwe. Powidok, to jest powidok, tak wtedy ani powiedziałem, ani pomyślałem. To doszło tak do mnie samo z siebie. Obok Ciebie dreptał ktoś mały, ale nie drobny, taki mały mocny dzieciak. I wtedy doszedł do mnie Armand ze swoim synkiem. Dziadek, syn i wnuczek podobni do siebie. Boże Ty mój! Trzy pokolenia i wszyscy obecni. W jednym miejscu, w jednej chwili, we mnie.

* * *

Zimą wewnątrz, a od wiosny do jesieni przed „Ratuszową” czytałem „Trybunę Ludu”. Od deski do deski. Twój przyjaciel Heniu Ankiewicz napisał, że powinien mieć tam swój stały stolik. Ale na miejscu „Ratuszowej” pojawiła się knajpa „Sambuca”, a teraz jest tam sklep odzieżowo-obuwiczny „Nikus”. Pamiętasz, jak Marian Szpakowski, Heniu Tarka i Ty mówiliście, że Starówka to będzie w przyszłości tylko miejsce spotkań i centrum kultury miasta. Te przemiany to naprawdę parterowy kapitalizm.

* * *

Krótko po Twojej śmierci zorganizowaliśmy dla młodych, zdolnych i obiecujących galerię – Promocja imienia Klema. Teraz będzie już 4-ta edycja. Wystawa prac absolwentki Instytutu Sztuki i Kultury Plastycznej, Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Zielonej Górze. Krótki czas byłś nauczycielem akademickim w tej uczelni. Tak bardzo teraz byś się przydał, właśnie w czasie jej rozwoju i kierunku o którym marzyłeś. Jeszcze coś Ci przypomnę. Wydaliśmy w naszej muzealnej serii Twoje wiersze. Armand je odnalazł, ja napisałem wstęp. Ciekawe co o tym myślisz?

* * *

Ireneusz Zajączkowski, artysta malarz rodem z Zielonej Góry miał u nas wystawę w 1991 roku. Twoją abstrakcyjną krwawą pracę zestawił w jednej ramie ze znanym odbiciem Chrystusa na chruście świętej Weroniki. Zatyłował ją Hommage’a Klem. W hołdzie dla mistrza.

W nocy bibliograficznej napisał: „1975-1978 prywatne lekcje malarstwa u Klema Felchnerowskiego”. W muzeum na I-szym piętrze wydzielamy przestrzeń ekspozycyjną Twojego Imienia. Zajączkowski w tej sali zrobi to, co w plastyce określamy jako „interwencja”, a w rzeczywistości polegać będzie na pozostawieniu starego znaku, symbolu, który by Ciebie przypominał. On chce nawiązać do Twoich form, słoneczka, radosnego kółka, które często pojawiały się w Twoich pracach. Ten Twój uczeń zmienił nazwisko. Nazywa się teraz Eric Mayen i na stałe mieszka w Kolonii.

* * *

Lubiłeś przeróżne statystyki, robiłeś dowcipne wykresy. Zawsze imponowałeś nam pamięcią do dat, cyfr, a szczególnie do wyników sportowych. Kiedyś na otwarciu jakiejś wystawy zauważyłeś, że plastycy tworzą najsilniejszy związek w Zielonej Górze. Po chwili ciszy dodałeś rozbawiony – Bo jeszcze nikt nie umarł. Ty pierwszy przeszedłeś na drugi brzeg. Był rok 1980 – miałeś wtedy 54 lata, drugi był Marian Szpakowski, kiedy zmarł w 1983 miał 57 lat. Tylko rok starszy był Józef Cyganek, umarł w tym roku, przedwczoraj był jego pogrzeb. Potem była dłuższa przerwa. W 1982 zmarł Juliusz Majerski w wieku 74 lat. Rok dłużej żył Hilary Gwizdała, zmarł w 1991 roku. Rok wcześniej odszedł od nas Stefan Słocki w wieku 77 lat. Najdłużej żył Włodzimierz Trofimow. Umarł gdy miał 92 lata. On przekazał do Muzeum swojej ręcznej roboty mandolinę zrobioną w Buchenwaldzie. Myślę, że spotykacie się po tamtej stronie. Cyganek ma 58 lat, jest najmłodszy. Ty się postarzałeś, masz 69, jesteś starszy ode mnie o 4 lata, Szpak natomiast o 6 lat. Hirek ma 81 lat, jeśli nadal zapuszcza brodę, to chyba ma ją do kolan. Stefek Słocki ma 87, Majerski 89, a Trofimow aż 103 lata. Co za piękny wiek. To jest prawda, że artyści nie umierają tak na stałe.

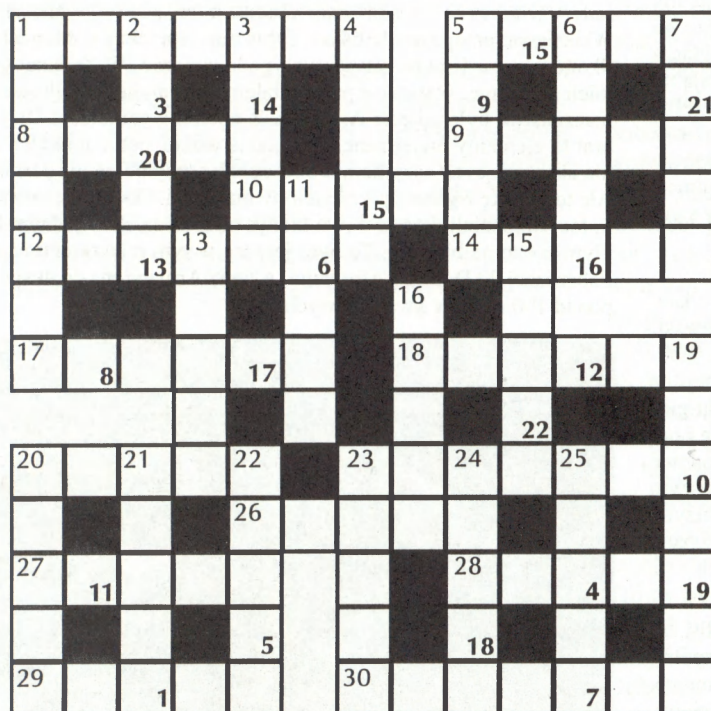
* * *

Spadają ciężkie pierwsze krople deszczu. Za chwilę dla wszystkich niebo się otworzy. Wtedy się dowiem o czym rozmawiacie.

Jan Muszyński

Zielona Góra, 12 czerwca 1997

KRZYŻÓWKA Z HASŁEM



Poziomo:

1. przenośna zastona, 5. duży budynek, 8. w oponie samochodowej, 9. wrzawa, hałas, 10. oprawa zdjęcia, 12. wygodny mebel, 14. urządzenie do sztucznego oświetlenia, 17. konanie, 18. uchwyt przy drzwiach, 20. zdrowie i bogactwo, 23. mężczyzna przed ślubem, 26. imię żeńskie, 27. izolowany przewód elektryczny, 28. elewator zbożowy, 29. 12 sztuk, 30. stolica Irlandii Północnej.

Pionowo:

1. znaleziona przynosi szczęście, 2. moda babuni, 3. ufność, zaufanie, 4. przyjęta zasada, wymagana miara, 5. mieszkaniec Zakopanego, 6. książka ze zdjęciami, 7. farba do włosów, 11. beczka na piwo, 13. żołnierz do zakładania min, 15. ptak pokrewny chruścielom, żyjący w Ameryce, 16. przód telewizora, 19. osoba do której wysyłamy list, 20. mężczyzna noszący spodnie w kratę, 21. kawon, roślina dyniowata, 22. drobne pieniądze, 23. łódź, arka Noego, 24. lennik, 25. zabawka dziewczynki.

STANGAR

Litery w oznaczonych polach od 1 do 22 utworzą dodatkowe rozwiązanie.

Wśród czytelników, którzy do ukazania się następnego numeru nadeślą na adres redakcji prawidłowe rozwiązanie (tylko hasło) rozlosowane zostaną nagrody książkowe. A oto hasło-rozwiązanie poprzedniej krzyżówki: BYLIŚMY TU PIERWSI.



MAŁE JEST PIĘKNE

Dzisiejszą gawędę proponuję poświęcić cisowi - gatunkowi drzewa niepozornego, a mimo to bardzo znanego i cenionego. Cis jest drzewem ładnym - zimozielonym. Igły dożywają wieku ok. 6-8 lat i nie opadają jednocześnie. Są miękkie i miłe w dotyku. I nie tak kłujące jak u sosny czy świerka. W Europie środkowej drzewa te nie przekraczają wysokości 10-17 m. Jest drzewem iglastym, które najwolniej rośnie. Po dwudziestu latach życia uzyskuje wysokość 2 m i zdolność do wydawania nasion.

W Zielonej Górze jest kilka miejsc w których możemy spotkać cisy (np. Park 1000-lecia, plac Kolejarza, ul. Stroma, WSP). Według rejestru pomników przyrody Urzędu Miasta (pod numerem 6) rośnie okazały cis na skwerze przy posesji znajdującej się przy ulicy Kopernika 12 (jadąc od ul. Kupieckiej w kierunku Wieży Głodowej po prawej stronie). Drzewo to było objęte ochroną jeszcze przed wojną. Występowało w rejestrze miasta pod numerem 1! Jest to najgrubszy i najokazalszy cis w naszym mieście. Liczy sobie obwód (mierzoną na pniu dość nisko) 225 cm. Jego sędziwy wiek jest widoczny po dziuplach. Dwa grube konary odchodzą na boki od pnia dość nisko. Jest też trzeci cieńszy, ale rozgałęziający się w kilka jeszcze cieńszych. Nasz pomnik przyrody odnajdziemy łatwo, gdyż jest ogrodzony. Prawy gruby konar jest podparty. Cieszy, że Miasto dba o tego staruszkę.

Cis jest gatunkiem starym. Pojawił się na świecie w dewonie (okres paleozoiku), czyli jakieś ponad (bagatela) 350 milionów lat temu. Razem z rybami pancernymi. Drobiazg. Ale żyje do dziś. Choćby to powinno wywoływać w nas chwilę refleksji i szacunku dla tego gatunku. Dziś w Europie żyje tylko jeden gatunek cisa - cis pospolity *Taxus baccata*. Rodzaj ten (8 podobnych do siebie gatunków) spotykamy właściwie jedynie na półkuli północnej naszego globu.

Dwie właściwości tego drzewa spowodowały, że stało się ono bardzo znane (w pozytywnym i negatywnym znaczeniu tego słowa). Po pierwsze jest to drzewo trujące. Szczególnie trujące są pestki. Brązowoczarne pestki są otoczone karminową jagódką. Jagódka (osnówka) nie jest trująca, ale mdły smak nie zachęca do zbierania i zjadania. Trujące właściwości mają także liście, kora oraz drewno. W dawnych czasach szczególnie konie (które nie napiją się brudnej wody!) lubiły się najeść tych trujących liści cisa przyplacając to życiem. Koń był zawsze bardzo cennym zwierzęciem. Dlatego wieśniacy wycinali w pień to drzewo w całej okolicy. Drugą właściwością tego drzewa jest to, że ma bardzo użyteczne dla człowieka drewno. Cis ma drewno bez żywicy, twarde i elastyczne. Jest ono trwałe i bardzo wytrzymałe na wilgoć. Spowodowało to, że było ono masowo wykorzystywane, np. do budowy konstrukcji wodnych, mebli (szafy gdańskie!), a już najslawniejsze były cisowe łuki. Wszystko to razem doprowadziło do tego, że pod koniec średniowiecza zaczęto obserwować zmniejszenie się „zasobów” cisów. W końcu musiał zareagować nasz król Władysław Jagiełło, który wydał jedną z pierwszych w dziejach naszej państwowości ustawę dotyczącą ochrony przyrody. W 1423 roku król wydał Statut Warecki (Kraków i Warta 1420-1423), w którym znajdujemy następujący in-

teresujący nas fragment: „Jeśli by kto, wszedłszy w las, drzewa, które znajdują się być wielkiej ceny, jako cis albo im podobne, podrąbał, tedy może być przez pana albo dziedzica pojman, a na rękojemstwo tym, którzy oń prosić będą, ma być dan”. Nie pomogło to zbyt wiele cisowi, gdyż w kronikach znajdujemy informacje o tym, że w XVI i XVII wieku był wywożony do Anglii i Holandii.

Każdy z nas zna nazwę cisa, choć może nie wszyscy potrafią rozpoznać ten gatunek. To niepokazne drzewo funkcjonowało w legendach, baśniach czy też opowieściach rodzinnych. W literaturze starożytnej jest bardzo często wymieniane, czego nie doczekaliśmy inne gatunki drzew. Uważano w starożytnej Grecji, że jest to drzewo śmierci i rośnie obficie na tzw. tamtych świecie, czyli w Hadesie. My już wiemy dlaczego. W czasie żałoby noszono wianki z gałęzi cisu. Juliusz Cezar przyznaje się, że oświadczył otruć wodza Eburonów (Galia) Katywulksa sokiem cisu. Słowianie posypywali igłami cisa pomieszczenia, w których przebywał zmarły oraz drogę, którą szedł kondukt. Podania ludowe zazwyczaj uśmiercają swych śpiących bohaterów pod cistem.

Ciekawostką na temat cisa znamy już więc wiele. I tu jeszcze jedna związana z jego rozprzestrzenianiem się (choć według nas niehigieniczna). Najczęściej w jego sianiu bierze udział jakiś ptak drozdowaty (np. kos, drozd śpiewak). Muszą one zjeść jagódkę cisa i po strawieniu miękkich jej części, gdzieś dalej „wydalić” nasionko na ziemię. Innym sposobem jest teraz także pomoc ogrodnika, u którego możemy po prostu kupić sadzonkę.

Cis doskonale nadaje się do sadzenia na terenach zurbanizowanych. Pomocny jest do „budowy” rozbudowanych żywopłotów. Bardzo dobrze znosi przycinanie. Widziałem w wielu parkach Europy fantazyjnie ukształtowane cisy na kształt ptaków, kolumn, stożków czy też grzybów. Jest to roślina zimozielona, co jest następstwem jej plusu. Zimą dobrze chroni nas od wiatrów. I co najważniejsze cis bardzo dobrze znosi zanieczyszczenia powietrza. Można go więc sadzić nawet na terenach silnie uprzemysłowionych.

Kiedy drzewo przestaje być anonimowym kawałkiem drewna, zaczynamy odczuwać szacunek dla niego. Dlatego warto przyglądać się przyrodzie i uczyć się rozpoznawać poszczególne gatunki roślin i zwierząt. Życzę miłych wycieczek po mieście w poszukiwaniu cisów.

Jeszcze dla zainteresowanych wycieczkami. Najstarszym cistem i drzewem w Polsce (wg C. Pacyniaka) jest właśnie cis rosnący w Henrykowie Lubańskim (Śląsk). Liczy on sobie ok. 1250 lat. Obwód pnia wynosi 521 cm. Natomiast bliżej nas, w Starym Kostrzynku, rośnie cis zwany „Czcioborem”. Podobno zmarł pod nim z odniesionych ran brat Mieszka I, Czciobor, po bitwie pod Cedynią w 972 roku.

Leszek Jerzak



Historia piwowarstwa w świecie

Piwo zajmuje stosunkowo dużo miejsca w piśmiennictwie historycznym. Chociaż legenda głosi, że wynalazcą piwa był król Flaudrii, Gambrinus, jednak historia piwa sięga w bardziej odległe czasy, bo aż do Babilonii, gdzie już w 7000 roku przed Chrystusem napój ten był znany, a wyrobem jego trudnili się przeważnie kapłani. Oni to, będąc jednocześnie lekarzami, stosowali piwo na różne choroby jako pierwszej jakości lek „napojem bogów” zwany. Już w tych czasach znano różne gatunki piw: najtańsze piwo ciemne „Biging”, najlepsze zaś „Bi-zag”. Do wytwornych gatunków piwa ciemnego dodawano cynamonu, przy czym ilość i jakość spożywanego piwa odpowiadała ściśle pozycji społecznej konsumenta. I tak np. po 3 litry najprzedszy piwa otrzymywali funkcjonariusze państwa oraz damy dworu, a po 5 l najwyżsi dostojnicy państwowi. Najlepsze gatunki szły na stół królewski.

Od Babilończyków umiejętność warzenia piwa przejęli Egipcjanie, skąd sztuka ta przedostała się do Palestyny i innych krajów Azji, a z czasem do Grecji i Rzymu.

Różne narody wiodły nawet spory, kto pierwszy wynalazł piwo. Rozwiązały tę zagadkę dopiero badania archeologiczne, potwierdzając, że ojczyzną piwa była starożytna Babilonia.

Sztukę warzenia piwa, jak i upraw ziemiopłodów, przekazuje się z pokolenia na pokolenie od czasów najdawniejszych. Zagadka, w jaki sposób człowiek pierwotny doszedł do poznawania przemiany ziarna w sód, jak zaczął po raz pierwszy mleć ziarno, zwilżać je wodą, fermentować i przerabiać, pozostanie wiecznie nie rozwiązana i skrytą w gęstym mroku tajemnicą prawników.

Sama technika piwowarska w dokumentach odnalezionych nie znajduje należytego oświetlenia. Wykopaliska z czasów babilońskich nie przedstawiają obrazowo czynności piwowarskich tak, jak rozkopane grobowce egipskie, przegląd których daje nam całkowity opis ówczesnego przemysłu piwowarskiego, począwszy od słodowania zboża aż do przechowywania w piwnicach napełnionych i hermetycznie zamkniętych dzbanów z piwem. Pomimo braku pierwotnych „ilustracji” przedstawiających obrazowo różnego rodzaju czynności, odnalezione dokumenty, w formie spisów, rachunków i wykazów, dają możność jasnego wyobrażenia całokształtu piwowarstwa babilońskiego. Zacierę sporządzano ze sodu, jęczmienia, pszenicy oraz przygotowanych poprzednio rozgniecionych „chlebów piwnych”. Podczas zacierania i odgotowywania zacieru, dodawano różne przyprawy, jak: cynamon, daktyl, miód itp. Rodzaj wielkiego dzbanu spełniał następnie rolę dzisiejszej kadzi fermentacyjnej, po czym piwo gotowe przelewano do dzbanów mniejszych o pojemności 20 do 60 litrów.

Piwowarstwo Babilonu za czasów najdawniejszych było najpierw przemysłem domowym, ręcznym, wykonywanym przeważnie przez kobiety. Z biegiem czasu dopiero powstały pierwsze browary w dworach królewskich i przy świątyniach pod zarządem kapłanów. Czasy nowobabilońskie i asyryjskie wprowadzają pewien określony układ prawny stosunku piwowarów do dostawców i konsumentów. Piwowarstwo domowe ustępuje całkowicie miejsca browarom.

Piwowarstwo na wielu płaskorzeźbach i malowidłach egipskich łączono stale z piekarstwem, czasami z garncarstwem, gdyż wszystkie dzbanki gliniane, potrzebne do produkcji i przechowywania piwa, browary musiały wytwarzać u siebie. Szczególnie piekarz i piwowar byli tak ściśle ze sobą zespoleni, że w razie potrzeby jeden z nich mógł śmiało zastąpić drugiego.

Wytwarzanie, a nawet samą nazwę „chlebów piwnych” odziedziczył egipski przemysł piwowarski od przemysłu babilońskiego. Z pozostawionych nam pomników kultury egipskiej dowiadujemy się, że słodownictwo staroegipskie prowadzono w sposób następujący: całe kłosa jęczmienia lub pszenicy moczono i poddawano kielkowaniu, a dopiero potem młócono ręcznie. Sodu zielonego nie suszono, lecz natychmiast rozgniatano, zarabiano z wodą na ciasto i formowano chleby słodowe do wyrobu piwa. Wytwarzane chleby słodowe wypiekano bardzo ostrożnie zaledwie rumieniąc skórę, a pozostawiając środek w stanie surowym.

Urządzenia warzelni piwa egipskiego składały się przede wszystkim z wielkich garnków glinianych, do których wrzucano pokrojone na kawałki chleby piwne i słodowe, zwilżano je wodą i pozostawiano w spokoju do dnia następnego. Po upływie wyznaczonego terminu, ten zacier chlebowy przenoszono do kadzi drewnianej, gdzie rozdeptywano go nogami. Wymieszany dokładnie zacier przenoszono do oddziału fermentacyjnego i tam przez kosze lub sita przecedzano do naczyń fermentacyjnych, kadzi lub specjalnych garnków. Fermentacja główna wobec panujących upałów trwała bardzo krótko. Dla amatorów świeżego młodego piwa na tym kończono jego produkcję, podając już po kilku czy po kilkunastu godzinach fermentu piwo gotowe do konsumpcji. Piwo świeże miało jeszcze smak kwaśnosłodkawy, było ulubionym napojem dzieci i kobiet egipskich. Dla piwoszców wybredniejszych trzeba było prowadzić fermentację dłużej i wytwarzać rodzaj piwa starego „leżakowego”. W tym celu piwo po fermentacji głównej ściągano ostrożnie sponad osadu do innych dzbanów.

Zawartość alkoholu w egipskich piwach podawana w wielu dokumentach wydaje się piwowarom wieku obecnego nieprawdopodobnie wysoka, gdyż dochodząca do 12-15% wagowych. A jednak bardzo możliwe, że piwa staroegipskie osiągały dużą zawartość alkoholu, zależało to w najwyższym stopniu od sposobu przeprowadzania zacieru i fermentacji.

Owoce kultury asyryjsko-babilońskiej, a więc i technika warzenia piwa, przenikają drogami świata starożytnego za pośrednictwem najdawniejszych podróżników – Fenicjan do coraz to dalszych krajów i ludów, a przede wszystkim w kierunku wschodnim.

„Święty” napój Indów starożytnych, według starych ksiąg Braminów, był rodzajem babilońskiego piwa zbożowego. Wprawdzie kapłani induscy, znawcy techniki przygotowania „boskich napoi”, wytwarzali je według zasad tajemnych, strzeżonych zazdrośnie okiem i uchem profanów, jednak po wielu latach niezmordowani badacze przeszłości odczytali swobodnie i wytłumaczyli znaki tajemnicze przysług pokoleniom piwowarów.

Piwowarstwo staroperskie, przejęte z zawojowanych w V wieku przed nową erą ognisk cywilizacji starożytnego Egiptu i Babilonu, ulepsząc na swój sposób technikę wytwarzania piwa, wywalcza sobie nawet rzadkie prawo zużycia surowca podstawowego – jęczmienia – jedynie na cele piwowarskie. Przemysł piwowarski Persów i Medów przechodzi do plemion sąsiednich, bliższych i dalszych, północnych Hunów, wschodnich Mongołów, Tunguzów, Samojedów itd.

Azjatyckie piwowarstwo domowe było przeważnie udziałem kobiet. Przygotowywały one przede wszystkim przenośne słodownie wyplatane w tym celu z giętkich gałązek rodzaj tacy kwadratowej, z lekko zagiętymi ku górze brzegami. Tacę taką pokrywano następnie warstwą gliny, zmieszanej z ziemią i nawozem, ugniatano do brzo i wykładano aż do zupełnego stwardnienia. Na takim lokum słodowni mógł już kielkować jęczmień, namoczony poprzednio w jakimkolwiek naczyniu kuchennym, a przewracając rękami od czasu do czasu taką gromadę, dochodzono wreszcie do sodu zielonego. Wtedy całą tacę ze sodem zielonym umieszczano w celu wysuszenia w wędzarni domowej ponad paleniskiem. Sód suszony gneciono w stępach lub mielono w młynkach prymitywnych, potem zalewano wodą i zagotowywano w kotle, wreszcie cały zacier przelewano do innych naczyń przez sito koszykowe. Otrzymałą brzeczkę wlewano z powrotem do kotła, a słodziny na sicie przelewano gorącą wodą dołączając ten drugi gatunek brzeczki do pierwszego. Do kotła z brzeczką dodawano pewną ilość dzikiego chmielu, gotowano, studzono i fermentowano brzeczkę chmielową, zadając ją drożdżami w naczyniach glinianych. Ten rodzaj kadzi i jednocześnie kuf fermentacyjnych wkopywano w ziemię, przykrywano otwory kamieniami oblepiając pokrywą glinianą i obsypując szczelną ziemią, a następnie pozostawiano do odleżenia.

Wkraczając do Chin w roku 1820 przed nową erą cywilizacji azjatycka zachodu, łączy się z panującą tam od wieków miejscową, dzieląc się z nią przeróżnymi zdobyczami kulturalnymi, przejętymi od narodów poprzednio zawojowanych. Do tych więc czasów odnosić należy i założenie pierwszych chińskich wytwórni piwa wzoru babilońskiego wytwarzanego w Państwie Niebiańskim z różnych gatunków zboża a przede wszystkim z prosa i ryżu.

Ciąg dalszy w następnym numerze

Stanisław Prałat

Rozpoczyna się okres letni, a z nim Rsezonowa obfitość owoców i warzyw. Pomimo dobrze zaopatrzonych sklepów, w wielu domach przygotowuje się przetwory domowe, ze względów ekonomicznych jak i dlatego, że są one przygotowywane bez konserwantów.

Oto niektóre sprawdzone przepisy.

A. OWOCY

Śliwki w occie

1 kg mało dojrzałych śliwek węgierek

1/4 l octu 5% do marynat

25 dkg cukru

kilka goździków

Śliwki umyć i wytrzeć, każdą śliwkę nakłuwać ostrym patyczkiem. Zagotować 3/4 l wody, dodać ocet, cukier i przyprawy – wszystko zagotować. Gorącym płynem zalać śliwki. Następnego dnia zlać zalewę, zagotować i znów zalać śliwki. Po ostatnim zlanu zalewę zagotować i znów zalać śliwki. Układać śliwki w słoikach i zalać gorącym płynem. Zamknąć pokrywką.

Przecier z czarnej porzeczki

1 szklanka czarnej porzeczki

1 szklanka cukru

Czarną porzeczkę oczyścić, umyć i opłukać ciepłą wodą. Razem z cukrem przemielić przez maszynkę do mięsa o gęstym sitku. Uzyskany miąższ ucierać do powstania jednolitej masy. Przełożyć do słoiczek z zakrętkami (nie gotować).

Wiśnie we flaszkach

Świeże wiśnie, rwane w pogodny dzień, oberwać z ogonków (bez mycia) i nakładać do flaszek o szerokiej szyjce potrząsając często dla lepszego ich ułożenia. Natychmiast zakorkować, zalakować, pozostawić w zimnym miejscu. Przechowują się do wiosny.

B. WARZYWA

1. Sok pomidorowy

Bardzo dojrzałe, zdrowe pomidory przepuścić przez maszynkę do mięsa, następnie przetrzeć przez sito (pozabawić pestek i skórki). Do otrzymanego soku dodać sól, pieprz i cukier – do smaku. Napełnić słoiki, zamknąć i gotować 15 minut.

Doskonały do picia, do zup i sosów.



II. Keczup

① 2 litry soku pomidorowego, bez przypraw

② 1 szklanka cukru ciemnego (podpalony na patelni)

③ 2 łyżeczki cynamonu

④ 5 drobno stłuczonych goździków

⑤ 1 płaska łyżeczka mielonego pieprzu

⑥ 1 płaska łyżeczka mielonego ziela angielskiego

⑦ 1/2 łyżeczki mielonego imbiru

⑧ 1/2 szklanki winnego octu

⑨ odrobinę ostrej papryki

Wszystkie składniki poz. 1-7 gotować na wolnym ogniu około godziny. Dodać ocet i paprykę, gotować jeszcze 10 minut. Wlać do małych słoików, zamknąć i gotować 15 minut.

C. GRZYBY MARYNOWANE

(każdy rodzaj)

Marynata

① szklanka octu 10%

② 5 szklanek wody

③ 3 łyżki stołowe cukru

④ 1 łyżka stołowa soli

⑤ 3 cebule

⑥ 3 ząbki czosnku

⑦ liście laurowe

⑧ ziarna pieprzu

⑨ ziarna ziela angielskiego

Wyżej wymienione składniki zagotować i ostudzić. Grzyby przebrać, oczyścić, umyć a następnie obgotować 5 minut w samej wodzie. Odcedzić i ostudzić. Wkładać do słoików nieco więcej niż do połowy. Zalać marynatą z przyprawami. Zamknąć słoiki i gotować przez pół godziny.

Smacznego



Poczta-Telegraf-Telefon

Budynek pocztowo-telekomunikacyjny przy dzisiejszym placu Pocztowym, wzniesiony został w II poł. XIX w. Budowę rozpoczęto w 1869 r., najstarszy wygląd budynku przedstawia fotografia nr 1. Dzięki nowemu budynkowi, zielonogórski urząd pocztowy stał się urzędem I klasy. Dzisiejszy odcinek ul. Jedności nazwany został ul. Pocztową, która kończyła się obok sądu. Wkrótce, oprócz funkcji urzędu pocztowego, budynek stał się również centralą telefoniczną po jej uruchomieniu w 1886 r. Na drugiej fotografii (z 1924 r.) na dachu widnieje charakterystycznie zadaszany stojak, do którego doprowadzone były przewody telefoniczne. Dalsza rozbudowa spowodowała, iż rozebrany został sąsiedni budynek winiarni (obecnie w tym miejscu znajduje się wejście do poczty). W związku z rezygnacją z napowietrznych linii na rzecz kabli podziemnych, usunięty został z dachu stojak. Już po wojnie dobudowane zostało skrzydło z tyłu, przy dzisiejszej ulicy wiodącej na plac Słowiański.

